Nr. 8. **Poznań, dnia 24 Lutego 1907 r.** **Rok XI.**

PRACA

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . 1,62 pod opaską . . 2,75

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1465. **Ogłoszenia:** od wiersza drobnego 30 fen

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Ratunek ziemi — nasze instytucye ratunkowe — a postęp niemczyzny.

Wypadki złożyły się w ostatnich dniach tak, że zapowiedziany w poprzednim numerze „Pracy“ artykuł o enuncyacyach „Nordd. Allgem. Ztg.“ na temat „postępu niemczyzny na kresach wschodnich“ połączyć musimy ze sprawą dla nas najbardziej palącą: ratunku ziemi i t. zw. instytucyi ratunkowych.

Przypominamy tutaj wieść, jaka zaalarmowała jeszcze w październiku ub. roku społeczeństwo nasze, że *Piotrkowice*, wieś w powiecie gnieźnieńskim, sprzedane niejakiemuś p. Radkemu przez *„Spółkę Rolników Parcelacyjną“* w Poznaniu przechodzą na *komisyę kolonizacyjną.*

Wieści tej starała się „Spółka Roln. Parc.“ *zaprzeczyć* w ten sposób, że rozesłała do pism polskich następujący komunikat:

„Piotrkowice przechodzą z powrotem na własność „Spółki Rolników parcelacyjnej.“ Dzieje się to na mocy zapisanego dla tej instytucyi prawa pierwszeństwa kupna, z którego „Spółka Rolników“ *zrobiła* przysługujący jej *użytek, donosząc o tem tak byłemu właścicielowi Piotrkowic, Radkemu jak i Komisyi Kolonizacyjnej.* Powyższe postanowienie powzięła Spółka Rolników natychmiast po odebraniu urzędowej wiadomości, że Radke majątek ten sprzedał Komisyi Kolonizacyjnej.“

Zarząd „Spółki Roln. Parc.“ dodał do tej wiadomości następującą notatkę:

Poznań, dnia 26 paźdz. 1906.

Szan. Redakcyą *upoważniamy* do ogłoszenia powyższej wiadomości w swem piśmie.

Z szacunkiem
Spółka Rolników Parcelacyjna
podp. J. Kużaj, Kaczmarek.

Spółka niejako z łaski „upoważnia“ odnośne redakcye pism, ażeby uspokoiły społeczeństwo, że „Piotrkowice przechodzą z powrotem na własność Spółki Roln. Parc.“

Cały komunikat ten jest tak ułożony, ażeby wywołać mniemanie, że Spółka Roln. Parc. na pewno odzyska Piotrkowice. To też nie dziw, że opinia publiczna się uspokoiła, że policzono Spółce Roln. Parc. *na dobro* dawniejsze zaufanie, jakiem się w społeczeństwie cieszyła, i że zamilkły głosy oskarżające Spółkę o przefrymarczenie Piotrkowic.

I udało się Spółce zamydlić oczy społeczeństwu — jedynie „Praca“ powyższego komunikatu nie umieściła. Myśmy nie wierzyli ani w dobrą wolę Spółki ani w rzeczywistą chęć ratowania Piotrkowic — ani przedewszystkiem *w możność ich uratowania.*

Mieliśmy po temu za wiele powodów do ostrożności. Dowiedzieliśmy się pozytywnie, że Spółka Roln. Parc. przy sprzedaży Piotrkowic p. Radkemu postąpiła sobie nie tylko lekkomyślnie — ale wręcz wbrew ostrzegającym ją referencyom co do *narodowego charakteru kupującego.* Pan Alkiewicz z Żernik pod Podstolicami wprost ostrzegał spółkę przed p. Radkem.

Stało się to, czemu Spółka później zapobiedz już nie mogła — p. Radke puścił Piotrkowice kolonizacyi. Fakt ten wiadomy nam nie od dziś — czekaliśmy jednakże na to, jakie w tej mierze zajmie stanowisko — Walne Zebranie Spółki, które zapowiedziano na dzień 14 b. m. do lokalu Spółki.

I cóż się dzieje?!

Byliśmy zdania, że Zarząd Spółki będzie się może chciał w jakikolwiek sposób zrehabilitować wobec — opinii członków Spółki. A jeżeli to nie, to przynajmniej walne zebranie zechce ratować dotychczasową opinię Spółki przed opinią społeczeństwa.

Atoli nic z tego. Walne zebranie *uchwala* dla zarządu Spółki *wotum zaufania,* że *czuwali nad interesem członków.*

A interes społeczeństwa, interes ogólny? — Czy interes członków tej lub owej instytucyi wyżej stoi — od interesów społeczeństwa, z którego łona owa instytucya wyszła?

Wotum zaufania przez walne zebranie Spółki Roln. Parc. udzielone zarządowi w sprawie Piotrkowic — co to znaczy?

Znaczy to, że walne zebranie Spółki Roln. Parc. kpi sobie z interesów naszego *społeczeństwa,* że drwi sobie z *publicznej opinii,* która głośno woła i oskarża zarząd Spółki — *o przefrymarczenie Piotrkowic.*

Jakże to jednak możliwe?

Sprawę tę wytłómaczyć sobie można tylko w ten sposób.

W sejmie pruskim i w prasie hakatystycznej odzywają się głosy, że polskie instytucye parcelacyjne, założone w formie *spółek* na podstawie *prawa spółkowego* z r. 1889 — nie są instytucyami *zarobkowemi,* lecz instytucyami *narodowemi,* to znaczy, że nie chodzi im o wyrobienie zysku dla *członków* — lecz o *obronę interesów narodowych* społeczeństwa polskiego. Spółki polskie, to *instytucye polityczne* — rozumują hakatyści.

Kiedy głosy te się pojawiły, na spółki polskie, a szczególnie *na parcelacyjne* padł strach, że zostaną rozwiązane. Od tego czasu polskie spółki parcelacyjne w interesach swoich kierują się względami na prawo spółkowe i postępują możliwie najostrożniej.

Nie zaprzeczamy słuszności takiego postępowania — zawsze, gdy chodzi o dobro instytucyi polskiej szanujemy jej względy uzasadnione *prawem*, ale czy względy te mają prowadzić aż do frymarki — i jak się w tym wypadku stało — do wstrętnej komedyi na walnem zebraniu, które uchwala zarządowi za frymarkę wotum zaufania, ponieważ czuwał nad interesami Spółki!?

Trudno — wobec sprzedaży Piotrkowic komisyi kolonizacyjnej, wobec znanych i niezaprzeczalnych dowodów nieostrożności a więc *lekkomyślności* zarządu Spółki Roln. Parc. — my zarząd ten publicznie posądzać i oskarżać musimy o przefrymarczenie Piotrkowic.

Zarząd przefrymarczył Piotrkowice — a *walne zebranie* udzieliło mu za to *wotum zaufania.*

Jakże się to stać mogło?!

Rozumiemy to jedynie w ten sposób: Zarząd frymarki zaprzeczyć nie mógł. Użył więc *zasłony* prawa spółkowego na swoją obronę, zastraszył walne zebranie hakatyzmem — a walne zebranie pozwoliło się *zbałamucić.*

To się stało już. Naszą zaś w tej chwili jest rzeczą wykryć nagą prawdę — *nie pozwolić zbałamucić społeczeństwa,* nie dopuścić innych do tego, ażeby ze sposobu wyłamania się z pod konieczności *brania względów na interesy narodowe* — sposobu wynalezionego przez Zarząd Spółki Roln. Parc. w Poznaniu — korzystali.

Frymarka jest frymarką. Frymarką ją opinia publiczna nazywać *musi* i nazywać *będzie,* wszystko jedno, czy jej dokona p. Olszówka z Kotowieckiem, czy Spółka Rolników Parcelacyjna z Piotrkowicami. Spółka Rolników Parc. jako instytucya *publiczna,* stworzona z *publicznego grosza polskiego* — wobec opinii publicznej gorzej jeszcze wygląda aniżeli p. Olszówka.

A jak sprawa ta przedstawia się wobec sprawy *ratowania ziemi* — i udowodnionego postępu niemczyzny w dzielnicach polskich.

Tu dochodzimy do artykułu „Norddeutsche Allgem. Zeitung".

Artykuł ten przeczy głosom odzywającym się w prasie niemieckiej, jakoby polityka antypolska wogóle, a komisya kolonizacyjna w szczególności zrobiła fiasko. I podaje na to następujące dowody:

W Ks. Poznańskie liczy obecnie 2 750 000 hektarów ziemi rolnej (t. j. 11 milionów mórg). Z tego obejmuje *własność prywatna niemiecka* 1 140,000 hektorów (4 miliony i 560 tys. mórg) — *komisya kolonizacyjna* 157,000 hektarów (628,000 mórg) — *domeny i lasy królewskie* 296,000 hektarów (1 milion i 184 tysiące mórg). *Razem* wynosi własność niemiecka 1,593,000 hektarów (6 milionów i 372 tysiące mórg). *Własność polska* wynosi okrągło 1 milion 140 tysięcy hektarów włącznie 38 tysięcy hektarów włości kościelnych (4 miliony 560 tysięcy mórg). 43,000 hektarów (169,000 mórg) jest własnością instytucyi publicznych w przeważnej części o charakterze *niemieckim.*

Niemcy więc mają w W. Ks. Poznańskiem *więcej ziemi* od Polaków, i to niemal okrągłe *dwa miliony* — 1 mil. 981 tysięcy mórg.

A liczba ludności?

„Nordd. Allg. Ztg." twierdzi, że w r. 1900 ludność niemiecka wzrosła o 43,000 głów, czyli 5,97% — ludność polska o 59,000 głów czyli 5,8%. *Procentualny* więc wzrost ludności niemieckiej jest większy od polskiego — o 0,17%. Wzrost to wprawdzie *nieznaczny,* ale „Nordd. Allg. Ztg." wysnuwa stąd wniosek, że przyrost ludności polskiej, stały od roku 1867 przesuwa się teraz — na korzyść niemczyzny.

I istotnie, jeżeli wszystkie liczby powyższe są prawdziwe, byłby to dla nas zły znak. Przeświadczenie o wypieraniu niemczyzny musiałoby się rozwiać.

Czy to nie zasługa komisyi kolonizacyjnej — a wina frymarki ziemią z polskiej strony?

Tem bezwzględniej, tem surowiej, tem ostrzej musimy potępiać każdą frymarkę, każde uchybienie interesom narodowym.

Do tej sprawy powrócimy jeszcze.

Szkoła i świat.

„Synów chowa szkoła i świat,
i oboje mogą zrobić z nich łotrów".

Jakże to ważna chwila w życiu dziecka, kiedy się je raz pierwszy z ciszy życia domowego wprowadza w wir życia szkolnego!... Nie wielu z wychowawców zastanawia się nad tem, czem jest ów świat otwarty, nieznany, obcy i pełen nowych wrażeń dla duszy dziecka, który nazywamy „szkołą," a który jest furtą do świata szerokiego, gdzie jak z goryczą rzekł Sienkiewicz „mogą z synów naszych zrobić łotrów."

Ci i owi, po ukończeniu wakacyi, opowiadają znajomym z radością, iż pozapisywali dzieci swoje do szkół, a zadowoleni są dla tego, iż zdaje im się, uczynili wiele i nie mają teraz troski o wykształcenie dzieci. Oddali dziatwę szkołom tak zupełnie, iż zrzekają się wszelkiej pracy w domu, obładowawszy dzieci stosami książek i przystroiwszy w odpowiedni ubiór, liczą tylko za ile lat będą mieli już synów dojrzałych i ludzi pokończonych.

Tymczasem — w życiu dzieci, poczynających chodzić do szkoły budzi się mnóstwo wrażeń nowych, rozpala ogromnie wiele błysków dotychczas nieznanych, myśl ich rozwija się, umysł wyrabia i tysiące tajemnic wabi ciekawością.

Szkoła łączy jednostki najrozmaitszych sfer, klas i warstw, zbliża dzieci młodsze ze starszemi, opuszczone zupełnie pod względem moralnym stawia tuż obok dzieci wychowywanych troskliwie, dzieci zepsute najgorszymi przykładami czyni towarzyszami dzieci niewinnych, a fala ta stworzona z cnoty i upadku młodego ducha unosi i porywa młodzież szkolną. Jedni — toną i giną wyrzuceni z łożyska olbrzymiej rzeki oświaty, drudzy wypływają dzielni i silni, a inni... zmieniają się w monotonnie bierne duchy, które jak manekiny to tylko spełniają co im nakazano i tam idą, gdzie ich ścieżka wiedzie.

Potem żalą się rodzice, iż szkoła nie wyrabia z ich dzieci wielkich ludzi, żalą się, że szkoła dała zarazki zepsucia, narzekają, iż praca nad posiadaniem wiedzy nie uszlachetniła serc młodzieży, a wszystkie skargi i gorycze żalu kierują do szkoły, chociaż niezupełnie słusznie. Bo myśli wielu, iż szkoła jest niby domem rodzinnym, niby opiekuńczem skrzydłem, niby duchem wszelkiego dobra, światła i prawdy.

Wszakże szkoła to świat!...

Świat to mały wprawdzie jeszcze, bo zamyka w sobie tylko życie młodzieży, ale ma on w sobie wszystkie świata wady, winy, błędy i nałogi, bo wszystko to przynoszą dzieci z sobą z szerokiego świata życia i wszystkiem tem

Ponieważ nie przekroczył prawa — chłosty.

Istnieją wśród ludzi sprzeczne poglądy na to, czy kij jest dobrym środkiem wychowawczym — czy złym.

Stwierdzamy atoli wobec tego fakt, że im społeczestwo wyżej stoi na stopniu kultury, im więcej dba o wychowanie dorastającego pokolenia — tem mniej używa kija jako środka wychowawczego. Po prostu używanie kija jest — wzbronione.

Częste wiadomości o chłoście w szkołach w dzielnicach polskich — a szczególnie o chłoście nie jako środku wychowawczym lecz jako środku dla

stłumienia strejku szkolnego — dowodzą, że szkoła pruska nie stoi na wysokości tych szkół innych narodów, w których kija i chłosty niema.

W szkole pruskiej jest chłosta. A kiedy przed laty posłowie polscy domagali się zniesienia jej — oficyalnie, z aeropagu sejmowego *kij w Prusiech usankcyonowano jako dobry środek wychowawczy.*

Prusy pod tym względem stoją w jaskrawej sprzeczności do opinii reszty cywilizowanego świata.

I jakie są owe przepisy co do chłosty w szkole? — przecież musi być jakaś tej chłosty *granica!*

Owszem — jest na papierze!

Przepisy odnośne opiewają bowiem wyraźnie, że — jeżeli chłosta nie zaszkodziła zdrowiu dziecka — nie przekroczyła dozwolonych granic.

Według tych przepisów wolno więc nauczycielowi wyznaczyć dziecku chłostę *wręcz nieograniczoną!*

I w rzeczywistości chłosta taka nie jest wcale czemś bardzo i wyjątkowo rzadkiem.

I do kogo w obronie zdrowia swych dziatek rodzice mają się udać?

Jest jedna na to jedyna droga prawna — oskarżyciel publiczny czyli *prokurator.*

Prokurator oczywiście bez świadectwa lekarskiego sprawami chłosty szkolnej wcaleby się nie zajmował. Stąd koszta i mitręga dla dzieci, tak że nierzadko i jaskrawy wypadek pomimo bólu i gniewu rodziców — idzie w zapomnienie.

Dzieje się to tem więcej, że jeżeli o sprawie tej napiszą gazety nasze, władza szkolna robi z tego *obrazę nauczyciela* — stawia wniosek o *ukaranie redaktora* — no, a że kara w takich wypadkach następuje, tego nie potrzeba osobno dopowiadać. Wszak niedawno pewien sąd skazał redaktora *na miesiąc więzienia* za to, że napisał o nauczycielu, że dawał dzieciom 6 łap — a on w rzeczywistości dawał 4!!

Po prostu często kary odbierane przez dzieci w szkole za pomocą kija „jako środka wychowawczego" — *się przemilcza.*

Jedna tylko pozostaje *droga skargi,* ale skargi *bez wyroku,* z tem tylko skutkiem, że tę skargę *rozkrzyczeć wolno* po wszystkie krańce ziem naszych — to skarga na ten „środek wychowawczy" w izbie poselskiej, w sejmie pruskim.

Prawda — pomyśli sobie niejeden że pobitemu dziecku pomoże to tyle co umarłemu kadzidło — a jednak mamy przeświadczenie, że gdy ojciec i matka skargę tę przeczytają — lżej im bywa na sercu. Bo przecież ktoś nad ich dolą się ulitował!...

Trudno zaprawdę ze skargą o pobicie dziecka dotrzeć do prokuratora, trudniej jeszcze do sądu! Prokurator bowiem uznaje, czy nauczyciel przekroczył „prawo chłosty" — czy nie. A może, prokurator uzna, że skargę odrzuca, ponieważ nauczyciel nie przekroczył prawa chłosty?"

I dzieje się tak — a w jakiej mierze się dzieje, tego niech dowiedzie nam mowa *posła Korfantego,* którą wygłosił dnia 16 b. m. w sejmie pruskim. Brzmi ona w streszczeniu tak:

„Szerokie koła ludności polskiej mają to przekonanie, że królewskie prokuratorye w dzielnicach polskich kierują się politycznemi względami. Prokuratorzy pozwalają sobie zwracać uwagę (przez obrońców oskarżonych — Red.) na to, że co do uznania winy i kary decydującem jest to, że obwinionym jest — Polak.

„Kilka przykładów.

„Krótko przed Bożem Narodzeniem jeden z polskich redaktorów, skazany na dwa tygodnie więzienia, pojechał na święta z Katowic do Torunia, aby odwiedzić starego ojca. Wyrok był od dawna prawomocnym, ale prokurator nie uważał za potrzebne wezwać go do odsiedzenia kary. Człowiek ów jedzie za zwrotnym biletem do Torunia do ojca swego, a kiedy z odwiedzin jednego z swych przyjaciół wraca do domu ojca, aresztują go na ulicy na wniosek prokuratora bytomskiego."

„Dnia 11 grudnia nauczyciel Bergener *w Poznaniu* ukarał 10-letniego chłopca nazwiskiem Czesław Środecki w ten sposób, że lekarz takie wydał świadectwo:

> „Po obejrzeniu dokładnem znalazłem wielką ilość pręg niebieskich, szaro-czerwonych, krwią nabiegłych na plecach, ramionach i 5—6 takich pręg na obu rękach i siedzeniu".

„A więc innemi słowy, całe ciało 10-letniego dziecka było skatowane, wszędzie pozostały ślady brutalnego karania. Matka — wdowa — tego 10 letniego dziecka zwraca się do prokuratora i stawia wniosek o ukaranie nauczyciela. Prokurator odpowiada: Nie widzę powodu wkroczenia — „bo nauczyciel nie przekroczył przysługującego mu prawa kary".

---

wzajem się zarażają i trują, psują i kaleczą...

Słusznie też Legouve powiedział: Nasypcie w worek drobnych, różnokształtnych kamieni i mięszając długo toczcie je po ziemi... a obaczycie, iż zmienią się wszystkie na jednakowo okrągłe. Podobnież ma się z dziećmi. Oddane do szkoły, w wspólnem ścieraniu się z rozmaitymi charakterami i nałogami, zatracą wiele indywidualizmu a ukształtują się w jedną formę.

Nie szkoła temu winna, bo ona nie może stawać w swoim ruchu dla jednostek potrzebujących innego posiłku, ani może indywidualności uczniów brać pod rozwagę... Jest to świat pracy nad rozszerzaniem i pogłębianiem wiedzy i swoje czyni. Od tej do tej godziny kuje się na kowadle gimnastyki umysłowej, matematykę, potem otwiera się księgę dziejów, gdzie daty bitw i chronologie królów ryje się rylcem ostrym w pamięci, potem stawia się przed oczy uczniów jakiegoś motyla lub pająka i nad nim godzinę przesiedzi, aż przejdzie lat kilka i kilkanaście, a plan jeszcze nie wyczerpany i wiedzy jeszcze mało.

Czegóż więc chcą ci rodzice, którzy oddawszy dzieci szkole, zakładają spokojnie ręce... myśląc, iż nic już do pracy nad niemi nie mają, bo szkoła wszystko zrobi, a potem piołunem goryczy rzucają na nią, mówiąc, iż dzieci im popsuła?

Czego chcą ci rodzice?... Chcą własną swą winę i własne zaniedbanie obowiązków zrzucić na innych i w tem właśnie jest omyłka straszna, która daje plony nader smutne.

Owoc doświadczenia nie spadł mi słodkim cukierkiem w usta — mówiła Żmichowska w liście do uczennicy, tak samo i społeczeństwo nasze rzec może, iż doświadczenie w sprawie wychowywania młodzieży nie przyniosło słodkich owoców, bo świat wychowuje nasze dzieci, a świat to zły pedagog.

Dziecko zapisane do szkoły, nie powinno wychodzić z pod wpływu wychowawczego domowego, oto najpierwsza i ważna zasada. Owszem, dzieci uczęszczające do szkół należy otoczyć tem troskliwszą opieką i tem więcej czuwać nad niemi powinno się w domu, iż ścierać się poczynają z wszystkiemi prądami świata, które niosą częstokroć zarazę.

Naturalnie, jest bardzo wiele młodzieży szkolnej, nad której wychowaniem po za szkołą nikt prawie nie czuwa, dlatego, iż albo młodzież ta nie ma opieki, albo ma opiekunów nie mających czasu na oddanie się dzieciom... Z takich dzieci rośnie często fala ludzi błądzących lub na oślep idących tędy, kędy ich pchnie silniejsza dłoń lub zawoła gorętsze słowo.

Z takich dzieci — rosną z czasem owi nieszczęśni koledzy, którzy wnoszą do szkoły zepsucia jad i gorączkę

„W tem samem mieście, *w Poznaniu*, nauczyciel Max Andler zbił dnia 30 listopada 1906 dziesięcioletniego chłopca w ten sposób, że poprzecinał mu nawet głowę. Ojciec zwraca się do prokuratora i stawia wniosek o ukaranie. Nauczyciel odpowiada — czemś musiał się uniewinnić — że chłopiec bronił się kiedy go karał, być więc może, że uderzył się przytem o ławkę i skaleczył sobie głowę. A ponieważ temu zaprzeczyć nie było można, prokurator poznański *oddala* wniosek o ukaranie nauczyciela za poniewieranie dziecka''.

„*W Inowrocławiu* 13-letnią dziewczynkę Łucyę Fercho sponiewierał nauczyciel, jak to wykazuje świadectwo lekarskie. Matka oświadcza wobec świadków, a ojciec spisał wobec świadków protokół, że dziecko we wtorek 4 grudnia 1906 dziewięć uderzeń na każdą rękę otrzymało; drugiego dnia otrzymała znów dziewczynka po 8 razów na każdą rękę. Skutek tego poniewierania był taki, że lekarz skonstatował *zapalenie palcy* spowodowane uderzeniami i dziecko *prawdopodobnie okaleczcje* na obie ręce. Ojciec stawia wniosek o ukaranie. Prokurator nie widzi powodu wkroczenia, — „bo nauczyciel nie przekroczył przysługującego mu prawa kary''.

„Inspektor powiatowy szkolny *Grün w Odolanowie* wchodzi do szkoły; jedno z dzieci, które wstało na jego powitanie, nie wita go po niemiecku, ponieważ ojciec zakazał mu pochwalać Pana Boga po niemiecku.

„Powiatowy inspektor szkolny Grün zbliża się do dziecka 11 czy 12 letniego i uderza je w twarz.''

„To jeszcze nie dosyć. Inspektor szkolny chwyta za kij i bije chłopca w niesłychany sposób. Ojciec stawia wniosek o ukaranie. Prokurator *odrzuca* go naturalnie.''

„Chalupnik *Andrzej Gabka* z Odolanowa przyprowadził do lekarza Dr. Sobiecha także 7-letniego syna swego, a lekarz stwierdził: na lewej stronie siedzenia 14 krwią nabiegłych pręg, przeciętnie 5 cm. długości. Pręgi te częścią równolegle znajdują się, częścią krzyżują się. Na lewem udzie 12 takich krwawych pręg, a pomiędzy niemi ciało zaczerwienione, co dowodem, że przed niedawnym dopiero czasem plagi wymierzono. Oprócz tego, na zewnętrznym krańcu dłoni nabrzmienie, które przy dotykaniu ból sprawia. Chłopiec powiada, że przy biciu zastawiał się ręką i że przy tej sposobności kilka razów w rękę tę dostał, co wydaje się prawdopodobnem.

„A więc 7-letnie dziecko dostaje 14 plag, które pozostawiają pręgi krwią nabrzmiałe. Ojciec stawia wniosek o ukaranie, ale prokurator jest zdania, że nauczyciel postąpił sobie słusznie i jak człowiek honorowy''.

„W *Wyrzysku* szedł nauczyciel Białek przez ulicę dnia 4 listopada 1906 r. i spotkał dziecko nazwiskiem Władysław Forbak. Dziecko zapomniało mu się ukłonić.

„Co robi ów nauczyciel? — Otóż na ulicy uderza dziecko w twarz''.*)

„*W Lesznie* rozegrał się w tych dniach proces wytoczony pewnemu gospodarzowi o obrazę dwóch nauczycieli. Obrazy tej miał się dopuścić w mowie, którą wygłosił na wiecu. Nauczyciel Hoffmann z Stwolna pod Rawiczem i dawniejsza nauczycielka Winkelmann, obecnie zamężna Barlitz wytoczyli skargę o obrazę. W postępowaniu sądowem zostało stwierdzonem, że Hoffmann podczas nauki skakał po ławkach i na prawo i na lewo bił dzieci po głowach. Zeznał to inspektor szkolny dr. Zohlfeld z Kwidzyna jako świadek i dodał, że nauczycielowi temu kilkakrotnie zwracał uwagę, aby dzieci nie maltretował. Dalej zeznał również pod przysięgą nauczyciel Schmidt, iż napominał go, aby dzieci w podobny sposób nie poniewierał. Wyżej wymieniona nauczycielka, dzisiejsza pani Barlitz, tak zmaltretowała 10-letnią córeczkę gospodarza Adama Pernaka, że dziecko dostało zapalenia pęcherza i kilka tygodni przeleżeć musiało.

„Dozór szkolny postawił wniosek o ukaranie nauczycielki, ale prokurator oświadczył, że nie widzi powodu do wkraczania — „bo nauczycielka prawa karania nie przekroczyła''. *Przewodniczący* izby karnej słysząc te zeznania zawołał: *Gdyby ojciec lub matka dziecko własne w ten sposób karali, niezawahałbym się ani chwili ukarać ich jak najsurowiej''*. Gospodarza *uwolniono* z zarzutu obrazy, bo miał słuszne prawo krytykowania na wiecu w

* W tem miejscu niemieccy posłowie — rządowcy i narod. liberałowie zaznaczyli zgodność swoją z postępowaniem owego nauczyciela — głośnem wołaniem „brawo". Poseł Korfanty dał im za to stósowną nauczkę. Red.

upodlenia, a wtedy to, jak mówi Sienkiewicz — „szkoła może z synów naszych zrobić łotrów''.

Idą rodzice do profesorów z prośbą, aby ich synów przesadzili do innych ławek, bo tam mają kolegów złych — przenoszą ci i tamci swoje dzieci od zakładu do zakładu, bo myślą, że w tem gimnazyum będzie lepszy dobór kolegów jak w tamtem, a nie wiedzą i nie chcą zrozumieć, że ani zmienienie zakładu ani przesiedlanie się do innej ławki nic tu nie pomoże, gdy dom i rodzice nad wychowaniem nie będą czuwali.

Nie pomoże szukanie drogi wolnej od towarzystwa kolegów, bo prędzej czy później chłopiec w świat wejść musi i musi stanąć twarzą w twarz w obec ludzi rozmaitych zasad i pojęć, lecz pomoże takie wychowanie domowe, które jakoby pancerzem mogło uchronić duszę dziecka od wpływu złego i od którego zło każde odbije się jak kula od ryngrafu...

Niestety!... wina w tem ogromna rodziców, iż mało pracują nad dziećmi!... Byle jaką mniejszą sprawę biorą za ważniejszą i pilniejszą do wykonania, jak czuwanie nad dziećmi w porze ich zetknięcia się z światem. Zajmują się nieraz czemś tak błahem i nędznem w porównaniu do duszy dziecka, iż nazwać to można lekkomyślnością lub nawet zaniedbaniem najświętszych obowiązków, a potem — gdy sami nic nie zrobili i wiele przewinili, rzucają kamieniem potępienia na szkołę i mówią: — ona zepsuła dzieci!...

Tak jest!... Szkoła niosła wpływy rozmaite, złe i dobre, dawała wiedzę i kojarzyła tysiące wrażeń w całości, ale nam trzeba było mieć dziecko w opiece i wśród ognia prób, starć, zetknięć i podszeptów rozlicznych, wyrabiać charakter szlachetny i czynić z ucznia — człowieka!...

— Byłeś, pytamy? — Byłem! — Umiałeś? — umiałem... na jutro już masz lekcye przygotowane? mam!... Taki jest katechizm rodzicielski dziś — w obec uczniów. Więcej nie ma co z chłopakiem mówić. Co on czyta? jak on się bawi? jakie skłonności objawiają się u niego? to rzecz obojętna. Ot!... dziecko... charakter się wykaże później. I chłopak czuje się wolny zupełnie. Koledzy go wiodą, nauczają, rozmaitemi doświadczeniami ośmielają do dalszych kroków, tysiące wad i tysiące nałogów zasiewa się, aż potem przyjdzie czas na plony i owoce...

Bo troska matek i opieka wychowawcza domowa obejmuje tylko dzieci małe, dokąd ich szkoła nie chwyci w ramiona swoje, a potem świat wiedzie je dalej i uczy i wychowuje... lecz zły to pedagog i niepoczciwy nauczyciel...

O jego wadach, pogadamy w następnym artykule. *J. S.*

sposób ostry postępowanie podobne. Jako *okoliczność łagodzącą* dla oskarżonego przyjęto właśnie *postępowanie prokuratora,* który wzbraniał się wytoczyć oskarżenia*).

Poseł Korfanty zwraca się w końcu do ministra sprawiedliwości z prośbą, by postarał się o to, ażeby prokuratorzy pamiętali, że w ludności polskiej zaczyna się budzić mniemanie, że w sprawach tych kierowali się — politycznemi względami. Przekonanie takie przenosi się także *na sądy,* bo człowiek prosty nie umie odróżnić sądu od prokuratora.

Za całą odpowiedź ma minister sprawiedliwości tylko słowa powątpiewania o prawdziwości słów posła Korfantego i dodaje, że jemu fakta te — *nie są znane!*

Naturalnie!

Na co to?

W mowach posła Korfantego, które wygłosił w sobotę ub. tygodnia, zauważyliśmy dwa zwroty, na które pragniemy tutaj zwrócić uwagę.

Jeden z nich ujawniający niejako chęć udowodnienia posłom niemieckim, że Polacy chętnie uczą się języka niemieckiego — „bo wtedy będziemy mieli podwójną broń przeciwko hakatyzmowi.“

Drugi zwrot — że „sami dbamy o to, aby dzieci nasze nauczyły się — po niemiecku.“

Pytamy się wobec tego: po co — na co to?!

*) Patrz artykuł w dziale illustrowanym pt. „Znamienny i bardzo ciekawy proces“.

Nie robimy ze sprawy tej jakiegoś specyalnego zarzutu posłowi Korfantemu. Inni posłowie głosili wobec sejmu to samo. Jeżeli nas jednak u innych nie dziwiło *to zaręczanie,* że „my chętnie uczymy się po niemiecku“ — „my sami uczymy dzieci nasze po niemiecku,“ to zdziwiło nas to jednak — u posła Korfantego.

Nie posądzamy posła Korfantego o to, że słowa te są jakimś wyrazem łojalności wobec rządu. Poseł Korfanty zbyt wysoko stoi ponad takim zarzutem. Ale — to mamy posłowi Korfantemu do zarzucenia, że nauki języka niemieckiego z naszej strony nie przedstawia jako smutnej konieczności.

Nie bałamućmy się. Nie zapominajmy o jednej rzeczy, że szerokie masy ludu naszego ani chętnie, ani gorliwie nie uczą się języka niemieckiego — ani rodzice w tych sferach nie uczą dzieci swych po niemiecku, bo (chwała Bogu!) sami po niemiecku nie umieją.

Nie bałamućmy się. Gazety polskie, a z niemi razem i poseł Korfanty w swoim „Polaku“ powtarza codziennie: uczmy dzieci czytać i pisać po polsku! Cóż lud pomyśli, gdy w wielkiej mowie sejmowej przeczyta: „my sami uczymy dzieci nasze po niemiecku?“

Tu jest brak ścisłości rozumowania, ścisłości myślenia. My jesteśmy tego zdania, że: nie wolno zaprzeczać w sejmie temu, co się głosi u siebie w domu. Jeżeli się głosi w domu: uczmy dzieci czytać i pisać po polsku, to czyni się to chyba dla tego, że tej nauki czytania i pisania polskiego — jest potrzeba. W takim razie nie wolno mówić w sejmie o chętnem uczeniu się języka niemieckiego. Wpierw jedną potrzebę, nam bliższą i stokroć wyższą, trzeba zaspokoić — potem można pomyśleć o innych mniejszych i mniej ważnych.

A przyzna zapewne pan poseł Korfanty, że: wobec potrzeby znajomości języka polskiego — jako podstawy *naszej narodowej odrębności* — język niemiecki schodzi na bardzo daleki plan.

Jesteśmy zdania, że my Polacy w zaborze pruskim uczymy się języka niemieckiego dla tego, że *musimy,* ale ani z własnych dobrych chęci, ani też ze zbyt wielkiej gorliwości.

Korespondencya z Galicyi.

Kraków, dnia 18. II. 1907

Po blisko całorocznej przerwie zebrał się na nowo *sejm galicyjski.* Tak długa bezczynność naczelnego organu naszej autonomii była również następstwem walki o reformę wyborczą do parlamentu austryackiego. Dopóki walka ta wrzała — a wrzała ona od marca roku zeszłego, dopóty bez przerwy niemal toczyły się obrady Rady państwa nie było czasu na sesye Sejmów krajowych ku wielkiej szkodzie wszystkich krajów koronnych, zwłaszcza zaś Galicyi, gdzie tyle jeszcze jest do zrobienia i naprawienia. To też teraz, gdy nareszcie Sejm nasz został zwołany, tak ogromny ma przed sobą program i nawał pracy, że absolutnie nie zdoła go pokonać w jednej sesyi, zwłaszcza że sesya ta ma być znów krótka — ze względu na rozpisane już na początek maja wybory do austryackiej nowej Rady państwa.

Tem bardziej zaś ubolewać nad tem trzeba, ponieważ nareszcie objawiła

Ślizgawka.

Z Inowrocławia.

Powierzchnia wody lodami spętana
Wabi do pląsów układnie,
Ślizgajcie się młodzi i ćwiczcie w zręczności,
Niech żaden — w przerębel nie wpadnie...

Nie wiem, czy którakolwiek rozrywka większą ciału może przynosić korzyść od łyżwowania! Wszystko przemawia za tem, by jak najliczniej korzystano ze sposobności pozwalającej choć pół godziny dziennie pobiegać na lodzie. A jednak zbyt mało jeszcze widzimy na lodzie osób, które powinnyby płucom swym i ciału nie odmawiać takiego zasiłku. Prawda, że w mieście naszem nie mamy żadnych udogodnień na lodzie — że często brnąć trzeba po kostki w śniegu przez drogę — a i lód sam nieraz niedość odmieciony — ale to bynajmniej nie zmniejsza korzyści, jakie organizmowi naszemu przynosi łyżwowanie. — Duszne — grzane powietrze pokojowe — zamieniamy tu na rzeźkie — czyste tchnienie zimowej atmosfery — ruch rytmiczny wzmacniający mięśnie wprowadza krew w żywszy obieg i napełnia nas dziwnie rozkosznem poczuciem zadowolnienia. — Dość spojrzeć na rozweselone, rumiane twarze młodzieży łyżwującej — na gibkość ruchów doskonale holendrujących — na pospiech gonitwy malców — lub melodyjne kołysanie się par sunących z pretensyą do skończonej elegancyi — aby nabrać przekonania, że nie powinniśmy zaniedbywać okazyi biegania na lodzie.

O ile wyżej stoi łyżwowanie od tańca na przykład — przy którym wchłaniamy w płuca niezliczone atomy kurzu najczęściej w porze — która powinna być porą spoczynku po pracy i zabawie. Prawda, że na lodzie nie można się bawić w oną ulubioną tu piękną (!) grę nazwaną „Flirt salonowy“, w której nie znajdziesz bodaj jednego „salonowego“ pytania i która wątpię czy w jakim „salonie“ uznanie by znalazła — ale za to znaleść można sposobność do wymiany kilku zdań z własnej głowy wysnutych — a głowa mroźnem powietrzem owiana, stosowniejsze zapewne wybierze tematy. Ślizgajmy się więc na lodzie jak najczęściej — aby za to mniej ślizgać się — w życiu po nad faktami poważnej doniosłości! — Niestety w tej sztuce umiemy daleko więcej niż potrzeba.... W kilka dni po najprzykrzejszej katastrofie — już wygładzona powierzchnia opinii — jak — najgładsza — ślizgawka.....

Co komu do tego, — że tam człowieka skrzywdzono — oszczerstwem zatruwając mu życie — że tego lub owego podstępnie oszukano lub:

że niesyte nigdy krwi Pijawki,
opadłszy owdzie Lwa nie dość bacznego,
ośm tysięcy — kropel krwi mu wśród zabawki
w oczach ot naszych znowu wytoczyły!..

się w rządowych u nas kołach dobra wola do spełnienia dwóch pięknych wprost spraw, a mianowicie *reformy wyborczej* do *Sejmu* i *podwyższenia płac nauczycielskich*. Ostatni ten zamiar chwalebny w tak ścisłej trzymano tajemnicy, że przed dwoma tygodniami, gdy pisałem wam o gwałtownym ruchu wśród nauczycielstwa naszego mającego właśnie na celu wywalczenie polepszenia bytu nauczycieli, nikt jeszcze nie wiedział, że spełnienie tego postulatu jest już tak bliskie.

Niestety! szczupłe środki, jakiemi rozporządza autonomia naszego kraju, nie pozwoliły i teraz uwzględnić w pełnej mierze wszystkich słusznych życzeń nauczycielstwa ludowego. Na podwyższenie pensyi nauczycielskich można było przeznaczyć tylko 2,600,000 koron, czyli wydawaną na ten cel dotychczas kwotę przeszło 12 milionów podnieść na 15 milionów. Jeśli się zważy, że cały autonomiczny budżet galicyjski wraz z wszystkiemi specyalnemi funduszami dochodzi do tylko 42 milionów koron — i ten nowy wydatek wydawać się musi dość znacznym — lecz w porównaniu do ogromnej wielkości kraju i wielkiej liczby nauczycieli ludowych jest to rzeczywiście tylko kropla w morzu. To też pensye poszczególnych stopni można było z tej kwoty podwyższyć zaledwie o 200 do 400 — u małej tylko liczby nauczycieli o 600 koron. Nauczycielstwo galicyjskie dzieli się co do wysokości płacy pobieranej — stosownie do miejscowości, w których pracuje, na cztery klasy. Nauczyciele najniższej, czwartej klasy, pobierali dotychczas 800 koron rocznie, obecnie pobierać mają 1000 koron; w klasie III zamiast 1000 koron — 1400 koron, w klasie II zamiast 1200 — 1600 koron, a w klasie pierwszej zamiast 1600—1800 — 2200 do 2400 koron. W odpowiedniej mierze podwyższono także pensye nauczycielek, dodatki na mieszkanie, i pensye nauczycieli prowizorycznych, nie posiadających wymaganych kwalifikacyi naukowych.

W przededniu zwołania Sejmu związki nauczycielskie zwołały na niedzielę dnia 17 bm. walny wiec wszystkich nauczycieli tak polskich jak i ruskich do stolicy kraju, do *Lwowa*. I wiec ten odbył się, jakkolwiek tymczasem Sejm został otwarty i przedłożenie o podwyższeniu pensyi nauczycielskich zostało już ogłoszone. Wiec stał się ogromną wprost manifestacyą nauczycielstwa ludowego. Wzięło w nim udział około 6000 nauczycieli, tak polskich jak i ruskich. Jak było do przewidzenia — zamierzone przez wydział krajowy podwyższenie płac nauczycielskich uznano za niedostateczne i żądano zrównania nauczycieli ludowych pod względem płacy z IX, X i XI rangą urzędników *państwowych*. Postulat to naturalnie na razie nie do spełnienia, gdyż wymagało by to dalszych 5 milionów koron; nie ulega też wątpliwości, że Sejm po za projekt wydziału krajowego się nie posunie i że nauczycielstwo tymczasem i tą skromną podwyżką swoich poborów zadowolić się będzie musiało.

Czy i o ile ten pierwszy objaw dobrej woli w tym kierunku u naszych kół rządzących oddziała łagodząco na niezadowolenie kół nauczycielskich — trudno przewidzieć. Fakt, że na wiecu lwowskim nie pozwolono przemawiać przedstawicielowi stronnictwa narodowo-demokratycznego, posłowi *Głąbińskiemu*, a natomiast chętnie słuchano *Ignacego Daszyńskiego* i *Stapińskiego*, jest niezbyt dobrą wróżbą co do tego.

Inną ważną sprawą, którą Sejm ma się zająć, jest *rozszerzenie autonomii krajowej w dziedzinie szkolnictwa*, uzyskane przez Koło Polskie w Wiedniu w zamian za ustępstwa w kwestyi reformy wyborczej do parlamentu. Rozszerzenie to polega na tem, iż wiele kompetencyi, należących dotychczas do rządu centralnego w Wiedniu do austryackiego ministra oświaty, zwłaszcza pod względem nominowania i zatwierdzania nauczycieli szkół średnich i wyższych (z wyjątkiem uniwersytetów) przejść ma teraz na galicyjską *Radę szkolną*. Jeżeli atoli przypuszczacie, że zdobycz ta wywołała wśród naszych nauczycieli żywe zadowolenie, to bardzo się mylicie. Większość obawia się, że teraz na rozcież otworzą się wrota systemowi protekcyjnemu, panującemu zdawna w naszym kraju, — także i w tej dziedzinie, dalej że nawskroś konserwatywna nasza władza autonomiczna krępować teraz będzie na każdym kroku wszelki ruch wolnomyślny wśród nauczycielstwa. Smutny to zaprawdę objaw, że znaczne u nas koła wolą podlegać jeszcze centralnemu rządowi austryackiemu, niż własnej władzy krajowej, że do rządu wiedeńskiego większe mają zaufanie, niż do własnego!

I z tą sprawą wiąże się ściśle sprawa *reformy wyborczej* do Sejmu. Skrajne nasze koła demokratyczne zgodziłoby się chętnie na jaknajszersze rozszerzenie autonomi krajowej, nawet na zupełne wyodrębnienie Galicyi, — ale właśnie pod warunkiem, że przedtem nastąpi reforma wyborcza do Sejmu na zasadzie powszechnego równego prawa głosowania, Koła te wychodzą z tego założenia, że dopiero, gdy przez taką reformę zmieni się skład Sejmu, gdy złamaną zostanie obecna większość szlachecko-konserwatywna, a żywioły demokratyczno-postępowe uzyskają szerszy dostęp do Izby Sejmowej, szersza autonomia wyjść może na dobre Galicyi; że natomiast rozszerzenie autonomii przy zachowaniu dzisiejszej kuryalnej ordynacyi wyborczej będzie tylko dalszem zatwierdzeniem samowoli rządzącej dziś u nas partyi. Lecz o tak upragnionej przez te koła reformie na razie niema mowy. Projekt wydziału krajowego zmierza tylko do pomnożenia liczby posłów z *miast* o 8 i do stworzenia jeszcze jednej *powszechnej kuryi* z 10 posłami. Chociażby więc te 18 nowych mandatów przypadło wyłącznie w udziale kołom demokratycznym, konserwatywna większość pozostanie i nadal tak silna, że we wszystkiem ton nadawać będzie.

Obawiać się też trzeba, że właśnie ten projekt wydziału krajowego stanie się przedmiotem zaciętej walki w Sejmie i po za Sejmem i że wyjdzie to na szkodę innych zadań, jakie Sejm ma do załatwienia.

Wśród nich wymienić należy projekt reformy *seminaryów* nauczycielskich w duchu bardziej narodowym, z osobną nauką historyi *polskiej*, dotychczas połączonej z historyą Austryi. Dalej projekty ustawy drogowej, łowieckiej i wielu, wielu innych.

Niezmiernie ważnym jest wreszcie projekt zaciągnięcia pożyczki krajowej wysokości 10,000,000 (10 milio-

---

Łatwiej bo prześlizgnąć się obok takich przepastnych szczelin — niż zajrzeć złemu w oczy i zapobiedz, by mniej rozważni nie stali się ofiarą niebezpieczeństwa. Ratować, zapobiegać, naprawiać, oświecać — niewdzięczna to praca — ot ślizgajmy się lepiej!

Z brzegu patrzący obcy cieszą się za to szczerze, że raz po raz znika ktoś z naszych pod lodem... i łyżwiarzy coraz mniej.

A nam cóż do tego — że ktoś nierozważny, niemądry — niedbały! — Wpadł w przerębel z własnej winy — ot ślizgajmy się lepiej! Kto wie jak długo potrwa dobra sposobność, niema czasu na stawianie baryer przed — przeręblami...

Hola! z drogi „wąż“ leci — zabierze cię z sobą lub przewróci — nie łam głowy nad przeręblem, bo i tak sam złemu nie zaradzisz!...

Śnieżka.

nów) koron na budowę nowych szkół ludowych.

Lecz o tem i o innych sprawach rozpiszę się w następnym moim liście.

X.

Przegląd prasy.

W sprawie obsadzenia Arcybiskupstwa gnieźnieńsko-poznańskiego, tydzień ostatni nie przyniósł nam nic nowego. Za to nacisk w sprawie strejku szkolnego rośnie ze strony władz do niebywałych rozmiarów. Na księży mają sądy — więzienia i grzywny, na redaktorów — to samo, na rodziców, którzy dzieciom zakazali uczyć się religii po niemiecku — grzywny za zmudy szkolne a oburzenie, w którem rodzice zapominają się, — tłumi rząd więzieniami. „Nieposłuszne" dzieci odbierają — chłostę i areszt odsiadują.

Ale tego nie dość. Rosnące rozgoryczenie potęgują władze na dwie strony — moralnym naciskiem: rodzicom wydala się synów z wyższych szkół i niweczy się tymże nadzieje na przyszłość — pracodawcom odbiera się robotnika.

Oto co ogłasza komitet wyborczy na powiat szubiński:

„W zeszłym tygodniu oświadczył landrat powiatu szubińskiego p. *Bülow*, pp. Malczewskiemu z Młodocina, Ponikiewskiemu z Chraplewa i Jaraczewskiemu z Sobiejuch, którzy do plantacyi buraków potrzebują większą ilość ludzi i zmuszeni są, tak jak we wszystkich forsowniejszych gospodarstwach, sprowadzać wobec wychodźtwa naszego ludu, *robotników zagranicznych, że pozwolenia na sprowadzenie tychże robotników im nie udzieli, dopóki nie zmuszą ciebie, ludu polski, do zgodzenia się na naukę religii w języku niemieckim.*"

Chodzi tu o znaną rzecz, że właściciele ziemscy sprowadzają na lato do roboty w roli robotników z Królestwa Polskiego lub z Galicyi — oczywiście Polaków. Na pobyt tych robotników potrzeba pozwolenia landrata. Tej okazyi uchwycił się widocznie landrat szubiński, — by strejk stłumić, by strejk polskich dzieci stłumić przy pomocy *polskich* właścicieli ziemskich.

Położenie to niewątpliwie dla odnośnych właścicieli bardzo przykre. W razie bowiem, gdy ulegną naciskowi landrata — potępi ich opinia narodowa, gdy nie ulegną — landrat nie pozwoli na sprowadzenie ludzi do pracy. Jak złemu zaradzić? — Rada zapewne trudna. Komitet pow. szubiński poradził sobie, by owym właścicielom pomódz, w ten sposób, że nawołuje polski rolny lud roboczy w swej odezwie, by w tym roku nie udawał się w świat za robotą:

„Jak w obronie dóbr naszych duchowych stanęliśmy wszyscy: duchowieństwo, prasa, obywatele i lud polski razem ramię przy ramieniu, jak w ostatnich zabiegach o naukę religii stanęliśmy przy sobie wszyscy, tak ty, *polski robotniku, stań teraz w obronie twej świętej ziemi* i pracą rąk twoich wspieraj swoich obrońców, a nie przeciwników.

Przynajmniej w tej ciężkiej chwili roku obecnego postanów sobie, polski robotniku, że pracą swoją *na polskim zagonie* bronić będziesz całości ojczyzny i nie skusisz się wędrówkami na zachód, które w obecnej chwili przyczyniłyby się do bankructwa wielu polskich majątków. Gdy wypowiedziano bojkot Polakom i na tem polu, trzymaj się ludu polski, naszego hasła: swój do swego!"

Może — jeżeli lud polski posłucha tego głosu, strejk szkolny i ten będzie miał skutek, że „wędrówki na zachód," a szczególnie wychodźtwo na stałe — się zmniejszy. Wtenczas „Nordd. Allgem. Ztg." nie będzie miala możności do przechwalania, że — przyrost stopniowy ludności niemieckiej w W. Ks. Poznańskiem jest większy od przyrostu polskiego. W każdym razie odezwa komitetu szubińskiego zasługuje na poważne zastanowienie się.

* * *

Z wspomnianego na wstępie artykułu „Nordd. Allgem. Ztg." półurzędowego organu kanclerza Rzeszy niemieckiej i prezesa ministrów pruskich ks. Bülowa przytaczamy następujące ustępy:

„Tematem szczególnie ulubionym przez naszych czarnowidzów jest fiasko pruskiej polityki w prowincyach wschodnich. Także nasi wrogowie wewnętrzni i zagraniczni bezustannie głoszą bankructwo tej polityki.

Niestety, wiadomości te znalazły wiarę także w kołach narodowo usposobionych, tak, że rząd w konsekwentnem przeprowadzaniu celów kolonizacyjnych, mniej jakby to było pożądanem i potrzebnem, spotkał się z zaufaniem i poparciem narodu niemieckiego.

Toć przecież już obecne cyfry i fakty dowodzą, że obrana przez rząd droga była odpowiednią i że pruska polityka w prowincyach wschodnich przy konsekwentnem dalszem jej prowadzeniu będzie miała powodzenie.

Przedewszystkiem możemy wskazać na rezultaty spisu ludności z r. 1905, z którego wynika, że rozpoczynające się w roku 1867 i jeszcze w latach dziewięćdziesiątych trwające ciągłe cyfrowe przesuwanie się stosunku narodowościowego na niekorzyść niemczyzny, wreszcie ustało i że zaczyna się zwrot ku lepszemu. Zjawisko to nader ważne dla całego rozwoju obu narodowści w obrębie terenu walki narodowej, polega niewątpliwie w pierwszej liniii na rozległej działalności osiedlczej komisyi kolonizacyjnej.

Zrozumie się to zaraz, jeżeli się zważy, że komisya kolonizacyjna obecnie osiedliła znowu 32 mil kwadratowych ziemi i że na nich stworzyła nie mniej jak 12,415 nowych gospodarstw włościańskich w 315 nowych wsiach i że te wsie, łącznie z zajętemi tam 5000 niemieckiemi rodzinami robotniczemi tworzą ludność niemiecką, liczącą okrągło 96 900 Niemców, których należy policzyć jako zysk niemieckości. (40,000 już dawniej mieszkało w Księstwie i Prusach — zysk więc wynosi największej tylko 45,000. Przyp. Red.)

Obok i dla uzupełnienia czynności komisyi kolonizacyjnej przedsięwzięto w najnowszych masach szereg urządzeń, które służą napływowi robotników miejskich. Stworzono centralę dla niemieckich robotników i biura pastora Rosenberga w Ostrowie dla sprowadzenia tychże i osiedlenia. Przez Ostrów w ostatnich 2 latach sprowadzono już 1 500 Niemców, a spółka dla małych osad ma 80,000 mk. udziałów i nabyła 500 morgów ziemi.

Także landbank urządził w Zabikowie kolonią robotniczą dla 2 do 300 rodzin i 50 kolonii rentowych już rozdzielił.

Drobną kolonizacyę podejmują faktory miejscowe, jako pracodawcy, pastorzy i spółki, a komisya kolonizacyjna spodziewa się po nich donośnych skutków.

Widoki działalności kolonizacyjnej dla całego stanowiska niemczyzny, specyalnie w prowincyi poznańskiej, najlepiej przedstawi rzut oka na obecny podział stanu posiadania między obie narodowości. Obecnie z 2,720,000 hektarów ziemi rolnej prowincyi, mimo poważnych strat w ubiegłych okresach, jeszcze ciągle znajduje się w niemieckiem posiadaniu prywatnem 1,140,000 hkt., około 157,000 hkt. w posiadaniu fiskusa domen i lasów, a więc razem okrągło 1,597,000 hkt. w rękach niemieckich.

W gminach wiejskich znajduje się 67,000 hkt. ziemi w rękach niemieckich wobec 550,000 hkt. w rękach polskich.

Przy takich stosunkach posiadania niemczyzna nie tylko może utrzymać gospodarczą przewagę, lecz powinna czynić postępy.

Przechodząc od wiejskich do stosunków miejskich, podnieść należy, następujące liczby:

W miastach prowincyi liczono w roku 1905:

	niem.	polsk
Domów	22 000	15 000
Podatku bndowlan.	800 000	460 000
Samodziel. rzemieśln.	10 000	10 600
Mieszkańców	346 000	316 000

Dalej liczono w r. 1904:

	Niemców	Polaków
lekarzy	351	198
weterynarzy	106	15
adwokatów	138	56
aptekarzy	96	52

	1905:	
lekarzy	378	205
weterynarzy	130	15
adwokatów	141	61
aptekarzy	130	52

Z tego widoczna, że niemczyzna w tych zawodach, do których Polacy z natury rzeczy się zabierają, także silnie przeważa. Zdaje się, że Polacy już osiągnęli najwyższy punkt w tej dziedzinie.

Siła niemieckich pozycyi jeszcze lepiej się przedstawia w publicznem życiu prowincyi (poznańskiej). W sejmie prowincyonalnym zasiada 41 Niemców a 8 Polaków.

40 sejmików powiaowych: 856 niemieckich, 501 polskich głosów, w tych 617 niemieckich a 416 polskich głosów z dóbr rycerskich. 3 sejmiki powiatowe są czysto niemieckie, w 15 powiatach mają Niemcy dwie trzecie większości, a tylko w 7 mają Polacy większość, w 1 zaś dwie trzecie większości.

W 131 radach miejskich liczyli:
1900 r. Niemcy 986, Polacy 370
1905 r. „ 1073, „ 354
+ Niemców 77, — Pol. 16.

W izbie rolniczej zasiada 63 Niemców a 14 Polaków, w izbie handlowej poznańskiej 33 Niemców a 4 Polaków, w izbie handlowej bydgoskiej: 20 Niemców a 4 Polaków; w izbie rzemieślniczej poznańskiej 21 Niemców a 9 Polaków; w izbie rzemieślniczej bydgoskiej 19 Niemców a 6 Polaków.

W dalszym ciągu swych wywodów stara się „Nordd. Allg. Ztg." wykazać, że rząd może być zadowolonym z tego, co w przeciągu ośmiu lat osiągnął w prowincyach wschodnich. „Rodakom niemieckim", zwracającym się na wschód, należy bezwarunkowo oddawać potrzebne przestrzenie. Jeżeli się na tej drodze uda trwale wzmocnić ludność niemiecką, to twierdzenie, jakoby polska polityka rządu uczyniła fiasko, ostatecznie umilknie."

Tak brzmi ów artykuł, który w zdaniu drugiem, rozpoczynającem się od słowa „niestety", a kończącem się słowami: „rząd w przeprowadzeniu celów kolonizacyjnych, mniej jakby to było pożądanem i potrzebnem spotkał się z zaufaniem i poparciem narodu niemieckiego" — zapowiada domaganie się dalszych funduszy kolonizacyjnych.

Artykuł ten pisma nasze zaopatrzyły w różne komentarze.

„Goniec Wielkopolski" tak o nim pisze:

„Stara to i znana *metoda* polityki pruskiej, że ilekroć chodzi o nowy środek w kierunku „Drang nach Osten", zawsze rząd stara się z góry obrobić opinię niemiecką.

Metodą tą kierowano się już przed rozbiorem Polski za Starego Fryca. Ku przygłuszeniu sumień niemieckich ukazała się wtedy broszura p. t. „Orang-utang", w której przedstawiono Polaków jako nie ludzi, lecz jakoby gatunek małp, który niszczyć można bez skrupułów.

Tą metodą kierowano się później zawsze i kierują się dotychczas."

„Goniec" stara się osłabić półurzędowy ten elaborat i zwraca uwagę na zbyt wielką jednostronność przedstawienia liczb — w świetle różowem.

My wolimy, że o ile różowiej wygląda w mózgach „rządowych," o tyle chłodniej my się musimy liczyć z nagą rzeczywistością. Są liczby artykułu „Nordd. Allgem. Ztg." korzystnie zestawione dla antypolskiej polityki — to atoli nie przeczy, że są *prawdziwe*. Z tem my się liczyć *musimy*.

„Orędownik" traktuje tę sprawę trochę lekko, zdaje się żartować z autora jego, gdy pisze, że wniosek ostateczny brzmi *skromnie*, a wniosek ten taki, że:

„po ośmiu latach wytężonej pracy są *widoki, że w przyszłości* niemczyzna *stale będzie wzrastać*. A więc na razie tylko *pocieszenie na przyszłość*. I to ma wedle zamiaru wypowiedzianego przez autora rozproszyć pesymistyczne zwątpienie w politykę antypolską rządu? Nam się zdaje, że artykuł „Nordd. Allg. Ztg." nie tylko nie nawróci żadnego pesymisty, ale łatwo może i największego optymistę usposobić bardzo melancholijnie."

Nam się znowu wydaje, że „Orędownik" zapomniał o najważniejszej rzeczy, i to, że walka toczy się właśnie — o tę przyszłość. Jeżeli więc mają Niemcy widoki powodzenia swojej polityki w *przyszłości*, to nam tego *lekceważyć* nie wolno.

„Lech" rzecz bierze poważniej. Napisał on artykuł pod sensacyjnym trochę nagłówkiem „giniemy", osłabił go znakiem zapytania i doszedł po rozpatrzeniu artykułu „Norddeuczerki" do takiego wniosku:

„Obrazek przedstawiony przez półurzędowy organ niemiecki jest dla nas *bardzo smutny*. *Wiele, bardzo wiele jest w nim prawdy*. Głównie dzięki sprzedawczykom przedstawia on się nam tak niekorzystnie. Lecz tym razem ukryło pismo niemieckie umyślnie, leżało to w jego zamiarach, barwy jaśniejsze. A tem jest niezaprzeczony niczem rozwój bytu naszego ekonomicznego, rozwój spółek naszych zarobkowych, rozwój handlu i przemysłu drobnego.

„Jeżeli to wszystko weźmiemy pod uwagę, to śmiało możemy sobie powiedzieć: Nie giniemy, przeciwnie robimy nawet znaczne postępy, a wrogi nam system niemiecki poniesie, musi ponieść kiedyś klęskę wobec wytrwałej naszej pracy. Możemy śmiało i odważnie patrzeć w przyszłość!"

Więc nie giniemy! — śmiało możemy patrzeć w przyszłość! — Szkoda, że „Lech" nie dodał, czy z założonemi rękoma, czy też raczej wtenczas tylko, jeżeli wysiłki nasze w podanych przezeń kierunkach jak najbardziej wytężymy.

Nam się wydaje, że śmiało patrzeć możemy w przyszłość jedynie wtenczas, gdy energię naszą, gdy rozpęd społeczeństwa w kierunku zarobkowym, gdy zapał narodowy rozpalimy do ostatnich granic.

Redakcya.

Tydzień polityczny.

Parlament otwarty został we wtorek mową od tronu. Mowa ta podkreśla szczególnie zwycięstwo idei narodowej podczas kampanii wyborczej, zaręcza, że *pokój* jest zapewniony — nie zapowiada jednak żadnych politycznych horoskopów na przyszłość. Nie miesza się także do sprawy ugrupowania partyi, zwraca się tylko ostro przeciwko socyalizmowi.

Niemieckie pisma wolnomyślne piszą, że mowa tron. jest bez treści i jakaś nieokreślona i domagają się od kanclerza szczegółowych wyjaśnień co do przyszłej polityki rządu.

Marszałkiem parlamentu wybrano hr. *Stolberga* — konserwatystę. Partye liberalne chcą w ten sposób odebrać centrum znaczenie pierwszej i najwpływowszej partyi. Czy to jednak zależy od wyboru marszałka? Centrum w ten sposób wciąż od nowa drażnione, stać się musi więcej opozycyjnem.

Na porządku obrad: etat kolonii afrykańskich i etat na r. 1907.

W sejmie toczą się przy obradach nad etatami poszczególnych ministeryów dość żywe utarczki z posłami polskimi.

Jedną z najżywszych miał poseł Korfanty ub. tygodnia w sobotę. Poseł Stoesser ostro wystąpił przeciwko Polakom po mowie Korfantego przy etacie sprawiedliwości. Mowę tę podajemy osobno w streszczeniu.

W zapale antypolskim uniósł się p. Stoesser — tak twierdzą posłowie polscy — tak dalece, że miał zawołać:

„Hańbą jest, że jeszcze w Prusiech Polacy żyją!!

Poseł Korfanty odciął się Stoesserowi, wołając:

To — podłość!

Wywiązała się sprzeczka. Konserwatyści i narod. liberałowi wściekają się na Korfantego. Marszałek powołuje go do porządku — za to wielka wśród tychże partyi radość.

Sprawa ta powtórnym odezwała się

echem, gdy Stoesser odwołał swoją kalumnię rzuconą na Polaków. W urzędowym stenogramie z odnośnego zebrania sejmu — po poprawce Stoessera napisano, że miał on tak powiedzieć:

Hańbą jest, jeżeli są Polacy, którzy po tak długiej przynależności do Prus jeszcze po niemiecku nie umieją.

Tak czy owak powiedział p. Stoesser, to nie ulega wątpliwości, że Polacy to jego powiedzenie uważają dla siebie za obelgę. Jeżeli ktoś nie umie po niemiecku, tak samo nie jest hańbą, jak nie jest jakimś szczególnym honorem — umieć po niemiecku. Miliony narodów bez tego żyją i są szczęśliwsze od nas, może dlatego, że po niemiecku uczyć się nie potrzebują, ani muszą.

Społeczeństwo polskie posłowi Korfantemu jest wdzięczne za to, że zuchwałą obelgę czci naszej ostrą uwagą swoją nazwał tak, jak na to istotnie zasługuje.

To co poseł Korfanty rzucił w sejmie p. Stoesserowi w twarz, to czuje każdy Polak.

We *Francyi* zatarg z Kościołem groził podobno ministeryum Clemenceau'a w ostatnich dniach upadkiem. Nie byłoby to wcale nowością. Poszło ministeryum Combesa, Rouviera dla tej sprawy na odstawkę — dlaczego nie miałby iść i Clemenceau? Clemenceau poróżnił się o tę sprawę z ministrem oświecenia Briandem, który zatarg łagodzi, do nieporozumienia. Nieporozumienie trwa dotąd — ale na razie Clemenceau pozostaje u steru. Czy na długo?

Po ostatnim zatargu amerykańskich Stanów Zjednoczonych z Japonią i po odwiedzinach króla angielskiego Edwarda w polityce zagranicznej jest dość cicho. Panuje spokój — rządy przeważnie są zajęte sprawami wewnętrznemi swych krajów. Wszędzie prócz w Austryi obradują izby poselskie. Austrya przygotowuje wybory nowych posłów na maja.

W *Rosyi* obecnie odbywają się wybory do drugiej Dumy. Z dotychczasowych rezultatów wnosić należy, że i nowa Duma będzie — radykalną, przeciwną rządowi. Nawet miasto Moskwa wybrała kandydatów nieprzychylnych rządowi.

Także w Królestwie Polskiem wre walka wyborcza, z której tak samo jak za pierwszym razem wychodzą zwycięsko kandydaci demokracyi narodowej. Walka partyjna jest bardzo ostra — porozumienia nie ma.

Co i jak czytać?

Powieści psychologiczne Sienkiewicza.

Wielostronny i rozległy talent Sienkiewicza naprzód dał się nam poznać w romansie psychologicznym.

Pierwsze tego rodzaju próby: Szkice węglem, Janko muzykant, Latarnik, Dziennik poznańskiego nauczyciela, Bartek zwycięzca, to prawdziwe klejnoty subtelnej i głębokiej analizy.

Jest w tych małych rozmiarami, a treścią tak głębokich utworach jakaś nadzwyczajna wyrazistość i siła, która wprost sięga do serca. Czytelnik z zapartym oddechem śledzi wypadki zewnętrzne, ale zarazem zstępuje w tę głębię cierpień, krzywd i poniżenia maluczkich i słabych, poniewieranych brutalną przemocą...

Oto jeden choćby przykład: Latarnik — najpiękniejszy może w literaturze naszej hymn tęsknoty za ojczyzną — przedstawia nam jednę chwilę z życia wygnańca tułacza. Zagnany losem gdzieś na samotne wybrzeże Atlantyku w Ameryce Środkowej żył biedny latarnik życiem mechanicznem, zrezygnowanem ludzi biednych i nieszczęśliwych. — Przypadkiem odbiera niespodzianie kilka książek polskich. — Od wielu lat straciwszy wszelką łączność z krajem książek polskich nie czytał. Widok tych kart zadrukowanych w ojczystej mowie — był to właśnie Pan Tadeusz — wprawia go w nadzwyczajne jakieś zachwycenie. Traci zupełnie świadomość, rzeczywistość i pogrążony całkowicie w tęsknocie i wspomnieniu ojczystego kraju głosem drżącym od wzruszenia czyta głośno te słowa, tak dobrze znane i umiłowane w dawnych latach:

„...Tak i mię cudem wrócisz
na Ojczyzny łono.
Tymczasem przenieś duszę
moją utęsknioną
Do tych pagórków leśnych,
do tych łąk zielonych.“ —

Serce jego zmartwiałe w długich latach samotności i rezygnacyi na te słowa wieszcza jakby za czarodziejskiem zaklęciem zbudziło się, rozgrzało i rozpłynęło w słodkiem rozrzewnieniu...

Nie widzi, że tymczasem ciemność zapadła, zapomina, że czas zapalić latarnię morską — i pierwszy raz od wielu lat zaniedbuje obowiązek! Oprzytomniał dopiero biedny tułacz marzyciel, gdy nazajutrz rano urzędnik przychodzi sprawdzić powód niedbalstwa i oznajmić mu, że służbę stracił.

Tu autor w jednej chwili zamknął tragedyą całego życia. Ująć podobny temat w ciasne ramy krótkiego obrazka i nadać mu cechy głębokiej, życiowej prawdy — to potrafi tylko talent pierwszorzędny.

Równie po mistrzowsku traktowany Janko muzykant, tragedya duszy dziecięcej i Bartek zwycięzca — utwór psychologicznie nadzwyczajnie ciekawy.

Bartek — bohater na wojnie — Bartek, ofiara tejże samej polityki, dla której walczył, — choć jej w swej ciemnocie ani trochę nie rozumiał!

Większe rozmiarami powieści społeczne: Bez dogmatu i Rodzina Połanieckich okazują też same zalety, lecz nie przysporzyły już sławy autorowi. Zarzucano mu bowiem przedstawienie typów ujemnych, dosyć licznie reprezentowanych w naszem społeczeństwie.

Nie chodzi nam o rozsądzanie, o ile te zarzuty są słuszne, pragniemy bowiem głównie zwrócić uwagę czytelników na wysoką wartość etyczną i estetyczną wszystkich społecznych powieści Sienkiewicza.

O ile jego powieści historyczne są szkołą uczuć narodowych, o tyle społeczne romanse uczą nas patrzeć w duszę narodu, są rachunkiem sumienia naszych wad i przewinień.

Niektórzy krytycy przyznając psychologicznym romansom Sienkiewicza wartość pierwszorzędną zarzucali mu, że nie pozostał w tym kierunku, lecz zwrócił się do powieści historycznych. Tymczasem zadziwiająca łatwość i płodność jego talentu na polu historycznego obrazowania przekonała wkrótce ogół czytający, że tu właśnie punkt ciężkości jego natchnienia.

Odtąd tworzy wyłącznie powieści historyczne czerpiąc pełnemi dłońmi z bogatego skarbca „narodowego pamiątek kościoła.“

Masowe wydalanie!

Otrzymujemy następującą wiadomość:

Ostrów, dnia 19-go lutego 1907.

Szanownej Redakcyi

donoszę uprzejmie, że dziś w Ostrowie wydalono z gimnazyum gromadnie, bo coś około 30 uczniów*) za to, że rodzeństwo ich w szkole w nauce religii strajkuje. Ponieważ już kilkakrotnie w „Pracy“ i innych gazetach

*) Według „Kuryera Poznańskiego“ (nr. 43) wydalono tylko 18 gimnazyastów. — Przyp. Red.

o tem czytałem, przychodzi mi na myśl, czy by nie można o bezprawne wydalenie czyli o odszkodowanie skarżyć. Prawo przecież przepisuje odszkodowania za zerwanie, niedopełnienie i nie dotrzymanie umów i kontraktów. Myślę, że by można skarżyć o zwrot zapłaconych pieniędzy, albo o przyjęcie do gimnazyum z powrotem. Odszkodowanie myślę możnaby uzasadnić na podstawie kontraktowej t. j. za niedopełnienie zobowiązań i tym podobnych. Może Szanowna Redakcya zechce sprawę tę oddać „Straży“ do zbadania. Boć gdybyśmy mogli przez to co zyskać, to byśmy wielkie zwycięstwo w tym przypadku odnieśli, bo by nasza młodzież bez przerwy dalej uczyć się mogła, a strajk by na tem nie ucierpiał. Jest przecież dość biednych, którzy się ledwo mogą zdobyć na to, by jednego syna do gimnazyum posłać i wykształcić a przez to, że rodzeństwo strajkuje, grożą mu wyrzuceniem; więc ojciec, chcąc mieć syna czemś, nakazuje dzieciom uczenia się po niemiecku religii.

W Ostrowie w kilku przypadkach się to zdarzyło. Tego by się potem uniknęło. W nadziei, że Szanowna Redakcya tę sprawę poruszy, pozostaję

z uszanowaniem

stały czytelnik „Pracy.“

Od Redakcyi: Wiadomość powyższa potwierdza doniesienia z ostatnich dni. Władze się porozumiewają — a tak przeciwko strajkowi szkolnemu rozpoczął się ze wszech stron. Rodzice, redaktorzy — i dzieci strajkujące — sądziliśmy, wystarczą władzom jako ofiary. Nie! — dochodzą teraz bracia strajkujących dzieci. I kto wie, jak często rodzina cała odejmuje sobie od ust, by syna wykształcić — podporę rodziców w starości — ten zdoła osądzić, jak straszny to jest nacisk moralny na rodziców. Dusza polska pali się do białości rozżarzonym płomieniem. Kto zwycięży?

Tak rzecz wygląda — moralnie. Czy rodzice będą mogli poszukiwać na władzach gimnazyalnych *praw swoich do* wpłaconego szkolnego, o tem poinformujemy się u prawników naszych i sprawę oddamy także „Straży“. Na razie wstrzymujemy się z wypowiedzeniem także własnego zdania. Sądzimy bowiem, że nie wolno nam pod tym względem rodziców — bałamucić.

Galicya — a nasz strejk szkolny.

Od Wydziału Rady powiatowej w Chrzanowie odbieramy pod datą dnia 7-go lutego 1907 r. następujące pismo:

Z inicyatywy swego Wiceprezesa Rada powiatowa Chrzanowska na posiedzeniu dnia 28-go stycznia b. r. powzięła następującą uchwałę:

„Rada powiatowa Chrzanowska wyraża gorące współczucie rodakom w zaborze pruskim z powodu prześladowania języka polskiego przez . . . . i uchwala udzielić na cele popierania i obrony języka polskiego w Wielkiem Ks. Poznańskiem, Prusach i Górnym Śląsku jednorazowy datek w kwocie 200 koron. Równocześnie poleca Rada Wydziałowi, aby powyższą uchwałę zakomunikował wszystkim Radom powiatowym w Galicyi z prośbą o wyznaczenie stósownych datków na wspomniany cel i nadsyłanie tychże na ręce tutejszego Wydziału powiatowego, który zebrane datki odeszle na właściwe ręce z wyszczególnieniem ofiarodawców i kwot ofiarowanych przez poszczególne Reprezentacye powiatowe.“

Wykonując zlecenie Rady, Wydział powiatowy podaje treść uchwały do wiadomości tamt. Reprezentacyi. Sądzimy, że sprawa nie wymaga bliższego uzasadnienia lub objaśnienia i upraszamy, Wydział powiatowy raczy jak najrychlej zawiadomić nas o Swem postanowieniu.

E. Mycielski, za prezes. *Dr. Wł. Majewski*, sekretarz.

Pismo powyższe rozesłane zostało do 73 Rad powiatowych w Galicyi. Trudno nam wypowiedzieć wdzięczność naszą za to współczucie i pomoc. Czego nie wolno nam wypowiedzieć słowami, to tem głębiej odczuwamy w sercu naszem, a dla braci naszych w Galicyi mamy tylko jedno gorące i szczere: Bóg Wam zapłać!

Głosy od przyjaciół.

Z prowincyi.

(„Tingle poznańskie.“)

Przeglądając do dziś dnia przechowany rocznik naszej kochanej „Pracy“ z roku 1898, wyczytałem w jednym numerze artykuł pod nagłówkiem „Apollo.“ Autor artykułu tego żali się słusznie na polską publiczność poznańską, mającą szczególne upodobanie do niemieckich „tinglów“ i tym podobnych „teatrów.“ W obec tego nasuwa mi się mimowoli pytanie, czy dziś pod tym względem lepiej się dzieje w Poznaniu? Otóż nie! — O ile mi opowiadano i o ile sam z kilkakrotnego pobytu w Poznaniu stwierdzić mogłem, panują tam te same nawyknienia i ten sam smak. Miałem sposobność w wielu dużych miastach zagranicznych przyjrzeć się wielkim „chantants,“ które z poznańskimi „Apollo“ i „Eldorado“ pod żadnym względem porównane być nie mogą, lecz jestem przekonany, iż wszelkie podobne przedstawienia tylko stępić mogą zmysł wstydu i moralności, pod jakimkolwiek płaszczykiem ukrywane bywają. — Nietylko przeciętni mieszkańcy Poznania dążą ochoczo na owe przedstawienia niemieckie, także i sfery inteligentniejsze czy też liczące się do inteligencyi przyswajają sobie z upodobaniem ów szczególny nabytek „cywilizacyi.“ Gdyby nasza prasa raz po raz wysłała swych przedstawicieli na wymienione przybytki sztuki, dowiedziałaby się rzeczy, które w dzisiajszych czasach bezustannej walki z wrogiem wszystkiego co polskie, nader smutne i przygnębiające wrażenie czynią. Nietylko bowiem „tingle“ i teatra niemieckie mają zaszczyt produkować się przed naszą młodzieżą i paniami, ale i ohydne kawiarnie nocne, przepełnione prostytutkami, ugaszczają regularnie „mężów,“ piastujących w rozmaitych towarzystwach i instytucyach polskich poważne godności!!! Kiedyż przejrzymy?

Ygrek.

W sprawie grudziądzko-brodnickiego

odebraliśmy w odpowiedzi na ostatnią korespondencyę następujące listy:

I.

Toruń, dnia 18-go lutego **1907.**

Do korespondencyi z Grudziądza z dnia 10-go lutego, 1907 r. nr. 7 „Pracy“ proszę Szanowną Redakcyę uprzejmie o umieszczenie mojego oświadczenia.

Co do punktu 5-go, to ów Poznańczyk, którego korespondent tak zachwala, w pierwszej chwili z lokalu został wyrzucony i ani się mógł pokazać, bo nawet za nim śniegiem Niemcy ciskali. Przechodziliśmy w ten czas przez Brudzawy do Oszeczka i Piwnic.

Mieli ludzie. opowiadać, że Polacy w Toruńskiem mieli sprzedawać kartki polskie Niemcom, — to jest nieprawdą.

Do punktu 6-go, jakoby ks. Szulc nie miał głosować, to mi się też zdaje być wątpliwem. W sobotę dnia 2-go lutego miał ks. Szulc kazanie li tylko o wyborach, na którem byłem. Co do tego pana,który był w M. Kruszynie, to wątpię, czy on tam co zrobił, bo on tylko dużą gębę miał. A właśnie ci ludzie, co tak się wychwalają, to w praktyce nic nie robią. Co do urny, to

rzeczywiście tak było; sam zwróciłem na to uwagę.

Punkt 9-ty. Jest mowa o nieżyczliwości dla Poznańczyków, a za co? Że pieniądze wzięli, że zostali sobie w Brodnicy, a małych chłopców posyłali z kartkami i odezwami, i to ma być warte wdzięczności? Ja mówię, takie postępowanie nie przyniesie panom Poznańczykom chwały — tylko hańbę. Dalej — korespondent skarży się na komitety powiatowe, że niedosyć pracowały. To być może.

Ale pytam się szanownego korespondenta czy też rękę przyłożył do tej pracy? Myślę ,że nie, bo by tak nie wygadywał na tych ludzi, którzy pracują. Po walce to i baba zuch! Zaś mojem zdaniem takie sprawy należy przed wyborami poruszać — a nie po czasie.

Dziwi się Szan. korespondent, że „Gazeta Grudziądzka“ nie zdołała wychować ludzi zdolnych, do pokierowania wyborami. A ja mówię, gdzie „Gazeta“ dotarła, tam też lud spełnił swój obowiązek.

Szan. korespondent chwali Nieżywięć, że się tak dobrze spisał. Z mej strony wart także pochwały, ale tam przecież są sami Polacy, toby nawet i wstyd było, gdyby tego nie zrobili. Na przyszłość radziłbym Szan. korespondentowi, aby nie siedział jak pająk w swej kryjówce, tylko wyszedł między lud pracować, a nie będzie mu tak smutno!

Jeden z Agitatorów toruńskich.

Z uszanowaniem
Antoni Wieczorek.

Od Redakcyi: Korespondencyę tę umieściliśmy dla tego, że zawiera ona przeciwko tym panom, którzy z Poznania jako agitatorzy pojechali do okręgu grudziądzko brodnickiego, ciężki zarzut, że „pieniądze wzięli, że zostali w Brodnicy, a małych chłopców posyłali na agitacyę.“ — Innemi słowy, pan Wieczorek otwarcie i publicznie robi agitatorom poznańskim zarzut, że — zawiedli pokładane w nich zaufanie społeczeństwa. Jest to zarzut tak ciężki, że tylko publicznie można go wyświetlić. Agitatorzy poznańscy sądzimy nie pozostaną dłużni odpowiedzi.

* * *

II.

Brodnica, Pr. Zach. d. 18-go lutego 1907.

Liczne korespondencye tyczące się wyborów do parlamentu powiatu Brodnicko-Grudziądzkiego i części Wąbrzeskiego, a wytykające błędy organizacyi, jako ohydne nadużycia naszych najserdeczniejszych — zniewalają do skreślenia otwartych tych słów kilka.

Ostatnia korespondencya w „Pracy“ Nr. 7-my rzuca już pewne dane i jasne światło, lecz jeszcze nie dość wyraźnie.

Prezesi bowiem komitetów powiatowych p .Stefański z Grudziądza i p. Ossowski z Najmowa wywiązali się starannie i gorliwie z swego obowiązku organizacyi i agitacyi i wszędzie był na każdem miejscu dostatek kartek wyborczych do dyspozycyi, ogółem 60 tysięcy.

Powiedziałem przedtem, że korespondencya jest niewyraźna. Korespondent bowiem się wyraża: „Ogólnie dziwiono się, że *„Gazeta Grudziądzka“* sięgająca jak *pająk* do dalekich dzielnic swymi abonentami, tam u siebie w Grudziądzu i Brodnickiem nie umiała dotąd wychować dzielnego, uświadomionego i nie ustraszonego sztabu ludzi, którzyby umieli pokierować wyborami! Nad tem warto się zastanowić! Dodaje! Smutne to! lecz prawdziwe! a czemu?!!“

Komitet specyalny powiatu Brodnickiego działał gorliwie i zgodnie, i pragnął podług zwyczaju wspólnego zjazdu komitetów dla porozumienia się w Jabłonowie. Sam pisałem w tej sprawie do p. Marchlewskiego do Grudziądza i odebrałem odpowiedź, że jest zapewnienie socyalistów i centrowców, że oddadzą głosy na naszego kandydata, dr. Łaszewskiego. Na moje uwagi, że to jest wbrew regulaminowi, że do parlamentu kompromisy są tylko dozwolone w ściślejszych wyborach — zamilczano. Zwołano wiece w powiecie grudziądzkim. W naszym powiecie w tym samym czasie takowe nastąpiły w różnych i wielu miejscowościach; potem nastąpił główny wiec w Brodnicy pod przewodnictwem pana Ossowskiego. Tam dopiero dociekł prawdy zasłużony i czynny p. przewodniczący. Dowiedziawszy się z ust p. Paszoty z Plemiąt, że powiat grudziądzki działał na dwie ręce i ma 2 komitety i to *wiejski i miejski!* Miejski stawia p. dr. Łaszewskiego, wiejski p. Janta-Połczyńskiego na kandydata!

Rzeczywistość smutny miała oddźwięk. — Aby sprawę ubić, odzywały się liczne głosy ze sali i proponowano mnie na kandydata. — W tej chwili zrzekłem się tego zaszczytu i razem z komitetem brodnickim wykazaliśmy, że kandydatura p. dr. Łaszewskiego jest bardzo na miejscu i trafna i nader dla ogółu sympatyczna. To też po przemówieniu p. prof. Szredera, jednogłośnie na walnem zebraniu w Brodnicy zgodzono się na p. dr. Łaszewskiego i na tem powinno było stanąć — a nie oglądać się na obcą inną pomoc. Lecz obecni członkowie komitetu wiejskiego i miejskiego z Grudziądza dopiero wtenczas swoją żarliwość zaspokoili, gdy reprezentant „Gazety Grudziądzkiej“ p. Sobiechowski zapewniał *publicznie,* że pomoc przyrzekli nam na dr. Ł. socyaliści i centrowcy. Czy to było potrzebne?! Komitet brodnicki z grzeczności i z obowiązku solidarności zamilczał i do świętej zgody przez usta p. Lipińskiego zachęcił. Lecz takie działanie organu ludowego było potrzebne? Osłabienie ducha u ludu, oglądanie się na takie czynniki i liczenie na obcą pomoc zamiast zachęcić do energii, osłabia ducha ludu. Tę ocenę pozostawiam innym, o ile w pierwszych wyborach do osiągnięcia celu się przyczyniła „Gazeta Grudziądzka“. Nie koniec na tem! Już w czerwcu roku 1906, gdy starałem się obudzić uśpionego ducha po tutejszych parafiach wiejskich, mianowicie w *Nieżywięciu* opuszczonym, poparła moje dążenia przeważnie *„Gazeta Gdańska“, „Praca“* i *„Pielgrzym“* w Pelplinie; nie szczędziły te pisma ani papieru, ani uroniły litery. *„Gazeta Toruńska“* czasem z łaski drobnym drukiem cośkolwiek napisała, a *„Gazetę Grudziądzką“* prawie błagać było trzeba o kawałek miejsca. Zaś teraz, gdy przed pierwszemi wyborami z pomocą tamtejszych gospodarzy, którzy sami się zorganizowali z *Nieżywięcią,* lud wysłał wskazówki, że chodzi o cały kąt powiatu wąbrzeskiego, który z nami głosuje to tej wyczerpującej wskazówki wyszłej od ludu, *„Gazeta Grudziądzka“ wcale nie umieściła.* Zaś *„Pielgrzym“* i *„Gazeta Gdańska“* nie szczędziły niczego, nie skreśliły żadnego słowa, lecz gorliwie z zachętą pracowały z nami. Dalej! gdy w imieniu komitetu oznajmiłem wiec przedwyborczy w Golubiu i również napisałem też do „Gazety Grudziądzkiej“ z prośbą, aby wyraźnie wymieniła wszelkie spisane miejscowości powiatu Wąbrzeźna, części co z nami głosuje, dała „Gazeta Grudziądzka“ w bocznem miejscu krótką wiadomość o wiecu, lecz nie wymieniła miejscowości i ludzi nie oświeciła, gdzie głosować winni. Wtenczas i mnie zbrakło cierpliwości i zmuszony byłem całej Redakcyi *„Gazety Grudziądzkiej“* napisać, że *jeśli z chleba ludu powstała, to niech lud urywkami nie bałamuci, lecz darzy go jasną strawą duchową.* To pomogło i w sobotę w 20 godzin przed wiecem w Golubiu nareszcie umieszczono tak ogłoszenie, jak pisałem i komitet brodnicki od tygodnia pragnął. Podziękowanie szczere się należy „Gazecie

Gdańskiej“ i „Pielgrzymowi“ z Pelplina, że sala w Golubiu była pełna i porozumienie tamże nastąpiło. Do tego kroku tam na miejscu i położone zasługi należy się podziękowanie panu Ossowskiemu z Najmowa i p. Stanisławowi Faustmannowi z Golubia, jako też naszemu kandydatowi dr. Łaszewskiemu. Tenże bowiem, pomimo że tego dnia musiał być wieczorem w Radzynie i tam powaśnionych godzić, był obecny w Golubiu i potem 8 mil bez tchu końmi do Radzyna podążył.

Więc taki przebieg był ogólny organizacyi przy pierwszych wyborach, a potem też nie zaspali sprawy również mężowie zaufania w swoich okręgach. Pp. Różycki z Wlewska, Olszewski z Lidzbarka, Piński z Gorzna i wielu innych. Lecz każdy musiał działać co sił w powiecie Brodnickim, aby wzmocnić u ludu ducha i wszędzie też gorliwie na wsiach ogłaszano, że nie ma się rachować na obcą pomoc, lecz sami my Polacy od razu w pierwszych wyborach przejść powinniśmy. W naszym powiecie i części wąbrzeskiego brakowały podług obrachunku tylko 153 głosy — zaś resztę przeholował powiat grudziądzki, rachujący na socyalistów, a to się potem pokazało, że te brakujące 900 głosów do pierwszego zwycięstwa od razu, potem znalazły się w powiecie grudziądzkim, bez udziału socyalistów którzy, jak od razu przewidzieć się było powinno, podwójnie zdradzili i Niemca przeprowadzili do parlamentu. Niech to będzie nauka dla *„Gazety Grudziądzkiej“*, nie narzucać się osobiście i publicznie na wsiach z pomocą obcą w obec ludu, bo to osłabia ducha.

Zwykle w końcu kwartału każdego, wysela „Gazeta Grudziądzka“ odezwy szumne „ludu polski, zjednocz się silnie z Gazetą naszą!“ lecz w biegu kwartału lekceważy i skąpi miejsca do jasnego oświecenia ludu — ale za to teraz woła w ostatnim numerze: „Nie spełna cztery tysiące abonentów brak nam już tylko do dopełnienia upragnionej liczby „Ośmdziesiąt tysięcy!“ i tak ten biedny ludek sidli, żebrząc chleba od ludu, a w gruncie rzeczy podaje potem ludowi na jego własnym chlebie musztardę po obiedzie. Tego nie czyni ani *„Gazeta Gdańska“* ani *„Praca“*, ani *„Pielgrzym“* pelpliński; żadna inna nie żebrze; to też te pisma również tanie, na pięknym papierze drukowne, podając ludowi jasny pogląd i nauki *bezinteresowne*, zasługują na ich poparcie i znajdować się powinny w każdym domu i strzesze polskiej. Pamiętajmy o tym obowiązku; tem bardziej że p. Kulerski, który tyle ludowi obiecywał, który wypisywał sobie mandat Tucholski, nie troszczył się o wybory i walkę naszych powiatów i przy ściślejszych wyborach nie głosował nawet z nami. Nie dziw! 80,000 abonentów, w dodatku anonsy, 3,000 marek pensyi parlamentarnej, wolna jazda I klasą — to może i rozumnego! człowieka pokusić z tej przyjemności skorzystać i zapomnieć o obowiązkach obywatelskich. Lecz za to Redakcya sama „Gazety Grudziądzkiej“ pracowała w pocie czoła i dzielnie się wzięła przy ściślejszych wyborach, bo skromni ci pracownicy w tym czasie dużo pisali i sami działali, tylko szkoda — że zapóźno.

Nagana należy się agitatorom z Chełmna, Torunia i Grudziądza, że nie umieli uszanować Poznańczyków, którzy z gorliwą pomocą przybyli, a wdzięczności nie zaznali. U nas w powiecie znaleźli gościnność i wdzięczność. Nagana też należy się komitetowi chełmińsko-toruńsko-wąbrzeskiemu, — że niedokładnie poinformował swoje powiaty i pozwolił frymarczyć kartkami na ks. Bolta i naszego kandydata, a najwięcej zawinił opieszałością komitet.... Chełmiński.... a bardzo nietrafnie i niefortunnie ze strony organu p. Brejskiego, że w „Gazecie Toruńskiej“ za mało sprawę wyjaśnił, — w ogóle żył prądem przeciwnym. — Lecz nie dziw! Tak samo jak p. Kulerski tak i p. Brejski .. .. *zdobywszy* krzesła parlamentu, byli myślami w swoich powiatach, aby w przyszłości dotrzymać to ludowi, co przyrzekali zdziałać w parlamencie.

Daj Boże, aby ich chęci na nich samych się nie zawiodły i solidarność Koła polskiego zachowali.

Nadmieniam jeszcze, że wskazówki komitetów już do ściślejszych wyborów skierowane, jako publiczne ostrzeżenie chlebodawców Niemców, aby swych poddanych nie zmuszali wbrew woli i sumienia głosować, z naszych gazet tu tylko powtórzyła *„Gazeta Gdańska“* i *„Pielgrzym“*. — Tyle do wyjaśnieniu przebiegu i prawdy. Gazety nasze proszę o łaskawe powtórzenie tego pisma.

Bolesław Bardzki.

Ruch w Towarzystwach.

* **Odczyty ludowe w Pleszewie.** W niedzielę, dnia 24-go lutego r. b. o godz. 8-mej wieczorem wygłoszą odczyty na sali hotelu „Wiktorya“: Ks. prob. Śniatała: O przewrocie jakiego dokonał wynalazek druku; p. Dr. Kubacki: O słońcu. Po odczytach przedstawienie świetlanych obrazów.

Wstęp na salę bezpłatny.

* **Walne zebranie** *wicepatronów, prezesów i delegaów „Kółek rolniczych“* odbędzie się dnia 11 marca b. r. na wielkiej sali Lamberta, o godzinie 11-ej rano. Poprzednio nabożeństwo żałobne za zmarłych członków Kółek w kościele św. Marcina o godz. 10 rano.

* **Zjazd Tow. Przemysłowych** *okręgu Inowrocławskiego* odbędzie się dnia 10 marca b. r. w Toruniu na sali Muzeum z następującym programem:

I. Msza św. o godzinie 10-tej rano w kościele św. Jakóba na intencyą Zjazdu.

II. O godzinie 12 w południe powitanie i wspólny obiad na sali Muzeum, nakrycie 1,50 mk.

Porządek obrad:

1. Zagajenie i ukonstytuowanie biura. 2. Odczytanie protokółu z Zjazdu delegatów i zarządu w Inowrocławiu. 3. Ewentualnie utworzenie nowego okręgu na Prusy Zachodnie. 4. Referat dowolny, ks. Bolt ze Srebrnik. 5. Referat: O organizacyi Tow. Przemysłowych, p. Krajna z Poznania. 6. Referat: Związki Zawodowe, p. Pluta z Inowrocławia. 7. Dyskusya i uchwały. 8. Zamknięcie Zjazdu.

Zarząd okręgowy.

Ig. Kornaszewski, prezes.
Fr. Śledziński, sekretarz.

Wiadomości.

* **Nasz proces** — już siódmy w ostatnich czterech miesiącach — toczył się dnia 20-go b. m. przez drugą Izbą karną tutejszego sądu ziemiańskiego przeciw *pp. redaktorom Idziemu Świtale i Bolesławowi Rakowskiemu* z powodu zamieszczenia w numerze 35-ym „Pracy“ r. z. artykułu p. tyt. „Mali bohaterowie“ jednocześnie z podobizną ucznia szkolnego Leonarda Grandkego z Miłosławia. Prokuratorya dopatrzyła się w umieszczeniu tak artykułu jak też obrazka wykroczenia przeciw § 110 (strajk szkolny) i wytoczyła naszym redaktorom proces. *Pana Świtałę uwolnił sąd, a p. Rakowskiego skazał na 70 mk. kary.* Prokurator wniósł o 200 marek kary.

* **Trzydziestu ośmiu** *skazańców z powodu strejku szkolnego.* Sąd okręgowy w Jutrosinie skazał w 38 wypadkach rodziców, których dzieci nie uczęszczały na „godziny uzupełniające,“ na zapłacenie nałożonych im kar policyjnych.

* **Przeszło 60 procesów** o naukę religii w instancyi apelacyjnej toczyło się przed inowrocławską izbą karną, jak czytamy w „Dzien. Kuj.“ Wszystkie wyroki poprzednie zostały zatwierdzone. Założone zostaną rewizye.

* **Wydalania z gimnazyów** za strejk szkolny rodzeństwa nie ustają. Do kościańskiej „Gaz. Polskiej“ donoszą z Leszna: Drugiego już gimnazyastę wydalono z naszego gimnazyum dla tego, iż rodzeństwo jego strejkuje, a mianowicie Walczaka z Kunowa. Z gimnazyum gnieźnieńskiego wydalono 8 a z nakielskiego 2 z tego samego powodu.

* **Kij w szkole.** Na 50 mk. kary za przekroczenie prawa chłosty skazała

izba karna w Inowrocławiu nauczyciela K. Brauna z Dziemionny.

* **„Gazeta Grudziądzka“** pisze, że pan Kulerski jej wydawca nie mógł brać udziału w wyborach w Grudziądzu d. 5 lutego, ponieważ d. 4 b. m. o godz. 10³/₄ miał w Rixdorfie pod Berlinem proces — a potem go żołądek zabolał. — Pozostawiamy Czytelnikom naszym, co zechcą o tem tłomaczeniu się myśleć. My jednę tylko uwagę zrobimy, czemu „Gaz. Grudz.“ tłómaczy p. Kulerskiego, skoro tenże — mieszkając w Berlinie — w Grudziądzu głosu nie ma. Szkoda, że „Gaz. Grudz.“ nie może pisać — prawdy.

* **Z teatru.** W sobotę: *„Miód Kasztelański,“* komedya kontuszowa w 3-ch aktach przez J. Ig. Kraszewskiego. Sztuka pełna szczerego staropolskiego humoru, która na wszystkich scenach polskich stałem cieszy się powodzeniem. (*Ceny zwyczajne*).

W niedzielę po południu o godz. 3-ciej na ogólne życzenie: *„Nitouche“* operetka w 4-ch aktach. (*Ceny do połowy zniżone*).

W niedzielę wieczór: *„Harde Dusze“* sztuka w 6-ciu odsłonach. (*Ceny zwyczajne*).

Jest to wyborna i nader oryginalna sztuka w 6-ciu odsłonach, przerobiona z powieści Elizy Orzeszkowej, wielce cenionej autorki, której 25 letnią pracę uczci Kraków w tych dniach uroczystym jubileuszem.

Sztuka ta odegrana była po raz pierwszy w ubiegły czwartek na benefis panny Turowiczównej z nadzwyczajnem powodzeniem wobec przepełnionej sali teatralnej.

* **Benefis p. Czerniaka.** W czwartek dnia 28 b. m. odbędzie się benefis długoletniego i wielce zasłużonego artysty sceny naszej p. *Stanisława Czerniaka.* Benefisant znany powszechnie w naszem mieście jako doskonały, inteligentny i obdarzony wszechstronnym talentem cieszy się u wszystkich zasłużoną sympatyą i szacunkiem. Jesteśmy przekonani, że w czwartek teatr nasz będzie wypełniony po brzegi.

Sztuka wybrana przez benefisanta p. tyt.: „Komedyanci“ (Klub pomidorów) — „Les cabotins“ przez E. Paillerona, członka Akademii francuskiej, jest nadzwyczaj interesującą, posiada nader wytwórczą formę i pełną wykwintnego humoru satyrę. Grywana jest na wszystkich pierwszorzędnych scenach z dużem powodzeniem a niezbyt dawno grano ją w teatrze Warszawskim. Możemy ją gorąco polecić zwłaszcza naszej inteligencyi pragnącej rzeczy wartościowych.

W sztuce tej bierze udział prawie całe nasze towarzystwo.

* **Pan Józef Strauss**, technik, odwiedził nas w redakcyi i oświadczył, że w wyborach do rady miejskiej w szkole przy ulicy Rycerskiej dnia 8-go stycznia r. b. wziął udział i głosował na trzech kandydatów polskich (patrz Wiadomości. Z wiarogodnego źródła w nrze 6-tym na str. 167-ej.)

* **Niesłychane!** W kościańskiej „Gaz. Polskiej“ czytamy: Tutejszy ks. proboszcz dr. Surzyński otrzymał od inspektora szkolnego powiatu kościańskiego nadzwyczaj charakterystyczny „ukaz,“ który poniżej w polskiem tłumaczeniu podajemy:

Czcigodny
ks. prob. dr. Surzyński
w Kościanie.

Używania lokalów tutejszej szkoły katolickiej do katolickiej nauki przygotowawczej do spowiedzi niniejszem zakazuję, począwszy od dnia 21. b. m.

Król. pow. inspektor szkolny
(podp.) Sint.

* **Zniesiony zakaz.** „Dz. Kuj.“ donosi, że trybunał administracyjny w Berlinie zawyrokował, iż w Gniewkowie władze niesłusznie zakazały odbycia wiecu w stodole. Skarżącym był p. dr. Zedlewski, a oskarżonym prezes rejencyi, który potwierdził orzeczenie policyi i lantrata w Inowrocławiu.

* **Podziękowanie.** Szanownym artystom p. p. baronowej Poeppinghausen, prof. Mieczysławowi Eichstaedtowi i Zdzisiowi Jahnkemu, szanownym amatorom i amatorkom, którzy z takim zapałem przyczynili się do powodzenia wtorkowego przedstawienia na cel dobroczynny, panu Osterwie, artyście teatru polskiego, który podjął się łaskawie reżyseryi, i Szan. Publiczności, która tak niezwykle licznie poparła nasze usiłowania, składam na tej drodze najserdeczniejsze staropolskie

Bóg zapłać!
Janowa Komendzińska.

Od Redakcyi: Z powyższego komunikatu skreśliliśmy wzmiankę o „bezinteresownem dostarczeniu skrzydła“ przez firmę Ecke. „Praca“ niema miejsca na takie reklamy, zwłaszcza, że rodak nasz prof. dr. Drygas również dostarcza „bezinteresownie“ skrzydeł na koncerty jak powyższy.

* **Ze „Straży“** odebraliśmy dwa komunikaty, dotyczące podniesienia podatku z powodu powiększenia liczby nauczycieli — i zagrożonych przez *regencyę* kwidzyńską i gdańską kar *na rodziców*, jeżeli nie zmuszą swoje dzieci do niemieckich odpowiedzi w religii. Komunikaty podają sposoby protestu względnie skargi w pierwszej, a zażalenia do ministra w drugiej sprawie. — Po odnośne informacye i formularze najlepiej niech ojcowie, matki — wdowy lub opiekunowie udają się do komisarzy „Straży“ w swym obwodzie lub do starostów wprost.

Pan Tomasz Frąckowiak z Jankowa pod Poznaniem donosi nam, że zebranie komisarzy „Straży“ na powiat poznańsko-*wschodni* odbędzie się w początku marca. *Komisarze* tego powiatu mają do tego czasu pościągać ze swych członków składki za r. 1906 i 1907. Pan Frąckowiak jest starostą na powyższy powiat.

— Komisarzy „Straży“ miasta Poznania (starego miasta) nawołuje p. A. Śmiśniewicz, starosta, ażeby za ubiegły czas pościągali składki od swych członków. Pan Sm. stwierdza, że w r. ub. zapał i ofiarność dla „Straży“ była mniejszą aniżeli w pierwszym roku założenia. Starosta poznański większą winę przypisuje społeczeństwu, które „niedosyć otacza „Straż“ swojem zaufaniem.“ Czy tak istotnie? — A może też i „Straż“ uderzy się w piersi i powie, że *za wiele* obiecała, i że skutkiem tego powoli zapał do niej stygnie. Tak — tylko tyle wolno przyrzekać, ile spełnić można. Co za wiele, to niezdrowo — nawet dla „Straży!“

* **Ostrów.** Dnia 11 lutego r. b. obchodzili w mieście naszem małżonkowie Szymon i Apolonia Komorowscy jubileusz złotego wesela. Jubilaci są zdrowi i czerstwi. Szczęść im Boże w dalszem życiu!

Nekrologia.

† Ś. p. *Józef Czajkowski*, dzielny bojownik o wolność z roku 1863-go, umarł dnia 21-go z. m. w Antwerpii, licząc lat 70. R. i. p.

† Ś. p. *z Syjkowskich Maryanna Jasińska*, dnia 14-go b. m. w Bławatach pod Strzelnem. R. i. p.

† Ś. p. *Emilia z hr. Łąckich hr. Bnińska*, dnia 16-go b. m. w Samostrzelu R. i. p.

† Ś. p. *Władysław Rejzner*, dnia 16-go b. m. w Zaniemyślu. R. i. p.

† Ś. p. *Stanisława Pawłowska*, dnia 15-go b. m. w Poznaniu. R. i. p.

† Ś. p. *dr. Wawrzyniec Grodzki*, lekarz praktyczny, długoletni prezes rady nadzorczej Banku Przemysłowców, dnia 17-go b. m. w Poznaniu, licząc at 59. R. i. p.

† Ś. p. *Antoni Mański*, dnia 16-go b. m. w Pniewach w 83-im roku życia. R. i. p.

† Ś. p. *Stanisław Koczorowski*, dnia 18-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 71. R. i. p.

† Ś. p. *Kazimira Szafranck*. dnia 15-go b. m. w Kościanie, przeżywszy lat 25. R. i. p.

† Ś. p. *Edward Speichert*, aptekarz, dnia 19-go b. m. w Obornikach, przeżywszy lat 63. R. i. p.

Od Redakcyi.

— *J. W. Bochum.* Owszem, w parlamencie bywają stawiane wnioski o zamknięcie dyskusyi. Jeżeli taki wniosek przejdzie, to tem samem dyskusya jest zamknięta. Posłowie, zapisani na liście mówców — *nie* dochodzą do głosu. Za serdeczne pozdrowienia dziękujemy gorąco i życzymy wzajemnie powodzenia i szczęścia.

— *Do Herne:* Dziękujemy. Szkoda miejsca na takie sprawy. Nad to, że Prusacy chcą nas zniemczyć, a hakatyści pierwsi do tego naganiają — w tej sprawie nic nowego powiedzieć nie można. Pozdrawiamy — Czołem!

— *Panu I. St. w Chełmży.* — 1) Notatkę zamieściliśmy w „Wiadomościach.“ 2) Adresu co do drugiej sprawy nie znamy.

— *J. G. Ruda G. Sl:* List otrzymaliśmy. Życzymy Panu polepszenia i pozdrawiamy serdecznie.

— *R. K. w Wągr:* Niestety do tego numeru za późno. Będzie w przyszłym. Czołem.

Dla braku miejsca rubrykę „Nasza ofiarność odłożyliśmy do przyszłego numeru.

(Przedruk wzbroniony.)

Z życia ludu górnośląskiego.

O pięć fenygów.

P. ALBERS.

Górnośląska nowelka tłumaczona z niemieckiego przez Empę.

Grzegorz Cieśla był górnikiem i zarobił sobie w Westfalii okrągłych sto talarów. Byłby mógł jeszcze więcej zarobić i oszczędzić, gdyby go tęsknota za domem nie była na Górny Śląsk ciągnęła! Bo żaden Górnoślązak nie wytrzyma na obczyźnie dłużej niż trzy, lub co najwyżej pięć lat! Musi on wracać do wsi rodzinnej, do swej chaty drewnianej o słomianym dachu, do rozległych ciemnych lasów świerkowych, do ojca matki i wybranej serca!

Grzegorz Cieśla miał także w domu ukochaną, a była nią Marjanna Masarczyk. Ładna to była i zgrabna dziewczyna, mianowicie gdy w niedzielę szła do kościoła, ustrojona w sztywno wyprasowanej sukience całej nieomal przykrytej jedwabnym fartuchem! W dni powszednie nie ubierała się naturalnie tak strojnie, bo pracowała pilnie w domu i w oborze, w ogrodzie i na polu. Za to dostała od ojca, chałupnika Florjana Masarczyka porządną wyprawę i w dzień ślubu gotówkę w ilości stu talarów.

Młoda para posiadała więc szczęśliwie dwieście talarów. Jest to ładny pieniądz, a jako najstarszy syn, miał Grzegorz jeszcze prawo do objęcia po rodzicach gospodarstwa, z obowiązkiem spłacenia brata i siostry.

Stary Cieśla chciał uporządkować spuściznę po sobie, bo czuł, że śmierć się zbliża. Sprowadził więc sędziego i zapisał swoją dziesięciomorgową posiadłość wraz z chałupą i całem gospodarstwem Grzegorzowi, pod warunkiem, że wypłaci każdemu z rodzeństwa po sto talarów. Potem, zadowolony, położył się i umarł.

Syn jego Grzegorz wprowadził się teraz z swoją młodą żoną do rodzicielskiego domu. Drewniane ściany zostały świeżo pobielone, zepsuty dach wyporządzony, rozpadły płot zastąpiono nowym, a na miejscu starej, jedenastoletniej krowy, którą sprzedano rzeźnikowi, stanęła w oborze trzyletnia pstrokata krówka, świeżodojna i ładna. Wszystkie te ulepszenia i zmiany kosztowały wprawdzie dużo pieniędzy i na posiadłości ciężyło teraz dziewięć set marek długów hypotecznych. Ale Grzegorz i Marjanna byli pilnymi i czynnymi ludźmi, którzy pracowali codziennie od czwartej z rana do ósmej na wieczór. Więc im się też wiodło dobrze i pomimo zwiększenia się rodziny o trzech tęgich chłopaków, wiedli w skromnej drewnianej chałupie życie szczęśliwe i bez troski.

Procenta opłacali punktualnie ,i zbierali dosyć dużo kapusty i kartofli z piaszczystej ziemi. Na skromne ich potrzeby starczyło wszystkiego, tylko nadzwyczajnego wydatku lękali się niezmiernie, bo o składaniu pieniędzy nie mogło być ani mowy. Ale w domu jaśnieli wszyscy zdrowiem i czerstwością i oprócz wydatków codziennych, a koniecznych, nie znało żadne z nich innych.

I szło wszystko dobrze!

Nie jeden we wsi zazdrościł Grzegorzowi i Marjannie ich cichego, spokojnego szczęścia rodzinnego!

Pewnego dnia wybrała się Marjanna do miasta powiatowego na targ. Miasto było oddalone o półtorej mili, lecz mogła jechać koleją a do stacyi nie miała dalej, jak najwyżej ćwierć mili. Powietrze było świeże i orzeźwiające, brzozy zieleniły się już na dobre, a zboże na polach poczynało wschodzić. Skowronki nuciły wesoło i cała przyroda promieniała słońcem i weselem. Marjanna była w doskonałym humorze; szła raźno, myśląc o tem, co z miasta dzieciom przyniesie — czy piernik, czy bacik lub drewnianego konika?

No znajdzie przecież coś stosownego!

Na stacyi spotkała jednę z robotnic z fabryki cygar.

— Dokąd to jedziecie? — zapytała robotnica.

— Na targ do miasta!

— Ja też chciałam jechać, ale zaszła mi nagła przeszkoda........ Chcielibyście mi odkupić moją kartę robotnicy? Oszczędzicie pięć fenygów!

— Czemu nie? Pięć fenygów, to też pieniądz i można go potrzebować. Kupię za to memu Jasiowi klimków. Ile kosztuje wasz bilet?

— Dwadzieścia pięć fenygów!

— Macie je!

Układ został zawartym i robotnica z fabryki odeszła.

Zaraz potem nadjechał pociąg, Marjanna wsiadła do wagonu i gdy ruszono dalej, wszedł konduktor, żądając kart. Marjanna podała mu swoją.

— W jakiej fabryce pracujecie? — zapytał konduktor szorstko.

— W żadnej, — odrzekła Marjanna otwarcie. — Jedna z robotnic z fabryki cygar sprzedała mi ją. Oszczędziłam tym sposobem pięć fenygów.

— Ja was tu nauczę! — krzyknął urzędnik z twarzą zaczerwienioną złością, — takie oszukaństwo! Pójdziecie za to na dwa tygodnie do więzienia!

Marjanna struchlała z przerażenia.

Najpierw nie zrozumiała wcale groźby, ale gdy jej wytłumaczono, że kart robotniczych tylko robotnicy i robotnice używać mogli i że pod karą nie wolno im było kart osobom trzecim odstępować, wtedy zaczęła przysięgać na wszystko w świecie, że nie miała o tem najmniejszego wyobrażenia.

— Kłamiecie, — krzyknął konduktor. — Opowiadajcie takie bajki dzieciom, ale nie mnie! Na pierwszej stacyi muszę wszystko zameldować i każę spisać protokół co do tego wypadku oszukaństwa.

Z głośnym płaczem błagała go Marjanna o darowanie jej winy, wołając, aby jej nie unieszczęśliwiał na całe życie. Przyrzekała uroczyście, że nigdy już nie pojedzie na kartę robotniczą, że dopłaci chętnie owe pięć fenygów, że okaże się wdzięczną i jemu samemu, panu szafnerowi podaruje najpiękniejszą tuczoną gęś, byleby jej tylko nie meldował!

— Co? — krzyknął urzędnik w najwyższem uniesieniu — to teraz chcecie mnie jeszcze przekupić? Poczekajcie! Zapłacicie mi drogo za to! Usiłowane przekupienie urzędnika!

Przerażona kobieta otworzyła oczy jeszcze szerzej, niż poprzednio. Już znowu miała popełnić coś złego, ale nie rozumiała wcale, o co właściwie chodzi. Usiłowane przekupienie urzędnika! Takich słów jeszcze jak żyje nie słyszała! Chciała naprawić złe dopłaceniem owych pięciu fenygów i przyrzeczeniem, że nigdy już czegoś podobnego nie uczyni. Chciała też okazać wdzięczność swoją panu szafnerowi, tymczasem oskarżano ją znowu o popełnienie czegoś karygodnego......

Nie śmiała teraz już słowa wyrzec, lękała się bowiem, że każde jej słowo, każda prośba i każda łza stanie się nową, ciężką zbrodnią!

Drżąca, wystraszona, dała się zaprowadzić w mieście do biura kolei gdzie spisano protokół. Przeczytano go jej potem — słyszała wszystko, lecz nie zrozumiała nic! W oczach jej czarne i zielone migały koła — tysiące paragrafów karnych szumiało jej w uszach. Nie wiedząc co podpisuje, potwierdziła swym podpisem to, o co ją oskarżano, a mianowicie, że starała zapewnić sobie korzyść czynem karygodnym i że poszkodowała zarząd królewskiej pruskiej

koleji żelaznej o pięć fenygów. I więcej jeszcze! Przyznawała się w protokule otwarcie do tego, że szafnerowi Scholzowi przyrzekała podarunki, aby go zniewolić do przekroczenia obowiązków służby!

Gdyby jej przeczytano, że usiłowala szafnera wysadzić dynamitem w powietrze, byłaby się również do tego przyznała i potwierdziła swoim podpisem. Dyrektorowi kolei i prokuratorowi wystarczało jednak zupełnie jej szczere i otwarte przyznanie się do winy.

Kolana gięły się pod „zbrodniarką'', gdy wychodziła z biura. Wolno powlokła się na rynek, aby kupić, czego było potrzeba. Biedna szła jednak we śnie. Handlarze dawali jej dziś najgorszy towar, a ona, która zwykle tak dobrze umiała kupować, brała co jej podawano i płaciła tyle, ile żądano. Wszakże myślała jedynie o tej wielkiej liczbie paragrafów, przeciwko którym zgrzeszyła i o karze, jaką za to będzie musiała ponosić. O zabawkach dla dzieci zapomniała zupełnie!

Obawiając się zaś powrotu koleją, szła półtorej mili piesze do domu.

I cieszyła się na myśl, że noc już zapadnie, gdy stanie we wsi. We dnie byłaby się za nic w świecie znajomym pokazała, każdy byłby musiał wyczytać z jej twarzy to, że stała się zbrodniarką, którą wkrótce w więzieniu zamkną! A cóż dopiero Grzegorz! Co Grzegorz na to powie, gdy ją wezmą do więzienia! A koszta! Te zostaną zapisane na posiadłości — i sprzedadzą im chałupę i rolę! Najlepiej byłoby, gdyby skonała na miejscu.

— Ach, gdybym tylko wiedziała, co ja tak złego uczyniłam! — jękła żałośnie.

Smutny to był powrót do domu. Maryanna szła długo, bez końca!

— Co to będzie, jak wrócę? — myślała. — Może wszyscy spać będą.....

(Dokończenie nastąpi.)

Rudyard Kipling.

3) # Namgay Dula.

Przełożył **F. Ch.**

(Dokończenie.)

Odgadłem!

Śpiewali z przejęciem, jakby im serca miały pęknąć z żalu, własną przeróbkę z jednej strofy:

„The Wearing of the Green''
They'a hanging men and women toa
For the wearing of the green[2]).

Namgay Dula spuścił zasłonę — pacierz się skończył.

— Tak śpiewał mój ojciec. Było tam tego daleko więcej, ale zapomniałem i nawet nie wiem, co znaczą te słowa, być jednak może, że Bóg je rozumie. Nie należę do tutejszego ludu i nie będę płacił podatków.

— A dlaczego?

Znowu ten sam uśmiech rozbrajający.

— A cóżbym robił między jednem żniwem a drugiem! To zabawniejsze, niż polowanie na niedźwiedzia. Ale ci ludzie nie rozumieją. Pozbierał maski z ziemi i spojrzał na mnie niewinnym wzrokiem dziecka.

— Skąd ci przyszły na myśl takie sztuczki? — zapytałem, wskazując na te akcesorya fenianizmu.

— Nie wiem doprawdy, Sahibe, jestem sobie prosty góral z Dardżilinu, a jednak ta materya...

— Którą ukradłeś.

— Nie? naprawdę ukradłem? Taką miałem na nią ochotę... Cóżbym innego mógł z niej zrobić?

Wykręcał w palcach kawałki aksamitu cały pomieszany.

— A o grzechu okaleczenia krowy pomyślałeś?

— O! Sahibie, ten człowiek mnie wydał; ogon jałówki tańcował przedemną w świetle księżyca. Co miałem czynić? Zanim pomyślałem, już miałem ogon w ręku. Ty wszystko wiesz najlepiej, Sahibie.

— Może i prawda. Zostań w domu, a ja pomówię z królem.

Naród szczelnie zapełnił stok pobliskiej góry. Zbliżyłem się do króla i rozpocząłem dyplomatyczne układy.

— O królu! — rzekłem — co się tyczy tego człowieka, dwie drogi stoją otworem przed twoją światłością. Możesz go powiesić wraz z całem potomstwem na pierwszem lepszem drzewie, żeby jeden rudy włos nie został w całem państwie...

— Nie — odparł król — na co krzywdzić małe dzieci?

Maleństwa powypełzały z chaty i oddawały pokłony wszem w obec. Namgay Dula stanął na progu z strzelbą, zwieszoną na ramieniu.

— Albo możesz zapomnieć o zbrodni, jakiej się dopuścił, kalecząc krowę i wznieść go do zaszczytów w swojej armii. On należy do rasy, która nie chce płacić podatków i ma we krwi czerwony płomień, który mu wytryska z głowy w kształcie błyszczącej czupryny. Uczyń z niego głównego dowódcę swojego wojska. Przypuść go do godności, ale czuwaj, aby ani on, ani jego następcy nie posiedli nigdy piędzi ziemi w twoim kraju. Karm go słowami zachęty i swoją łaską, a także zawartością pewnych butelek, które znasz, a zrobisz z niego przedmurze swojego majestatu. Więc czy zrobisz go wodzem? o królu? wybieraj.

Radża skinął głową, a ja zawołałem:

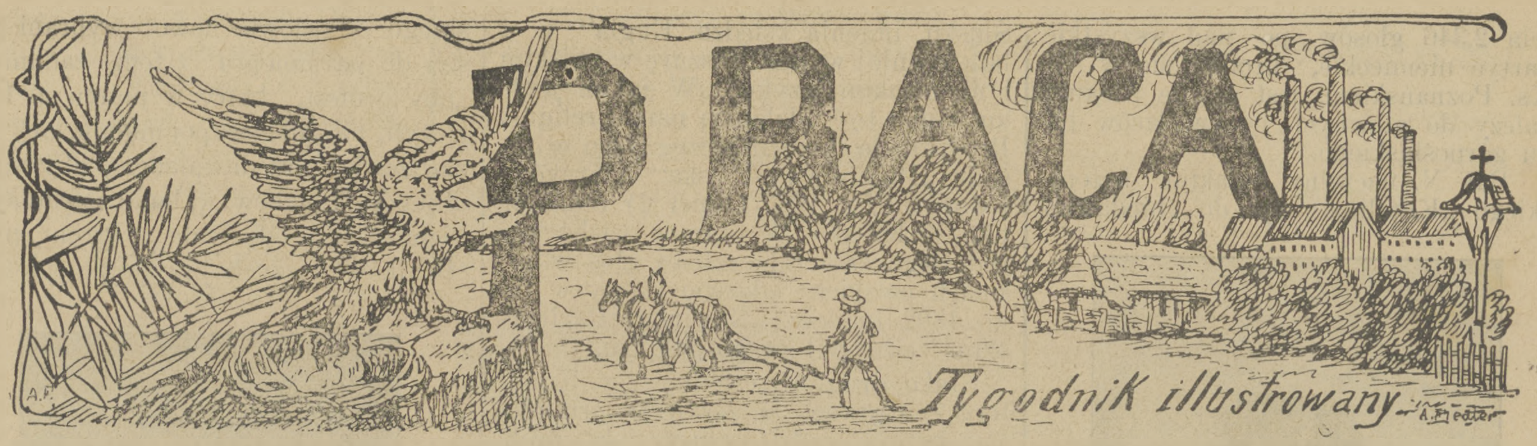
— Chodź tu, Namgay Dulo i rozkazuj w armii królewskiej. Imię twoje nie będzie odtąd brzmiało w ustach ludzkich Namgay, ale Patsay[3]) Dulan, bo jakeś to powiedział, ja wiem najlepiej.

Namgay Dula, świeżo ochrzcony na Patsay Dulana, syn Timlay Duli, inaczej Tymoteusza Dulana, przyskoczył, ucałował kolana królewskie i poroztrącał armię stałą, a potem nagle dręczony wyrzutami sumienia biegał od świątyni do świątyni i składał ofiary dla przebłagania bogów za ów nieszczęsny ogon krowi.

Król tak się ucieszył z mojej przenikliwości, że chciał mnie zatrzymać przy sobie i ofiarował mi jedną ze swoich wsi, za sumę dwudziestu f. st. Ale ja nie kupuję wsi w Himalajach, póki między podnóżem niebotycznego lodowca, a cieniem buków płomienieje choć jedna czerwona głowa.

Znam to nasienie.

Firmy polskie na prowincyi polecają się względom Sz. Czytelników.



Z bieżącej chwili.

Członkowie Koła Polskiego w parlamencie niemieckim.

II. Na Górnym Śląsku.

Poseł Wojciech Korfanty

naczelny redaktor i właściciel „Polaka“ w Katowicach na Górnym Śląsku, urodził się 20. 4. 1873 r. w Sadzawce w pow. Katowickim, ma więc dzisiaj nie-



Poseł Wojciech Korfanty.

spełna 34 lat. Chodził do szkoły elementarnej w Siemianowicach, później do gimnazyum w Katowicach. Od roku 1896 do 1901 słuchał na uniwersytetach w Berlinie i Wrocławiu prawa oraz ekonomii politycznej; w roku 1900-ym pracował niepoznany jako górnik prosty w kopalniach i hutach na Górnym Śląsku, gdzie się zapoznał z ludem i wyzyskiem zdrowia i pracy swych braci.

Później pracował jako redaktor w Poznaniu, przebył 4 miesiące w kaźni więziennej we Wronkach i udał się na Śląsk, gdzie redagował „Górnoślązaka.“

Obrany w roku 1903-cim pierwszym posłem polskim z Górnego Śląska, który wstąpił do Koła polskiego, zapoczątkował nową epokę historycznego rozwoju polskości na Śląsku. Dzielny i energiczny mówca, odpowiadający bez przygotowania na zaczepki ministrów i posłów, udowodnił niejedną świetnie opracowaną i ze swadą oratorską wygłoszoną mową, iż ma „nerw parlamentarny“ rokujący świetne nadzieje. Jest biczem na centrowców, a i sfery rządowe boją go się, jak ognia, bo ciska im prawdę w oczy, opartą na materyale dowodowym, którego mu można pozazdrościć. Jest także posłem do sejmu pruskiego, który to mandat dało mu Księstwo, aby mógł sprawy Śląska wytaczać także w tej



Poseł ks. Proboszcz Brandys.

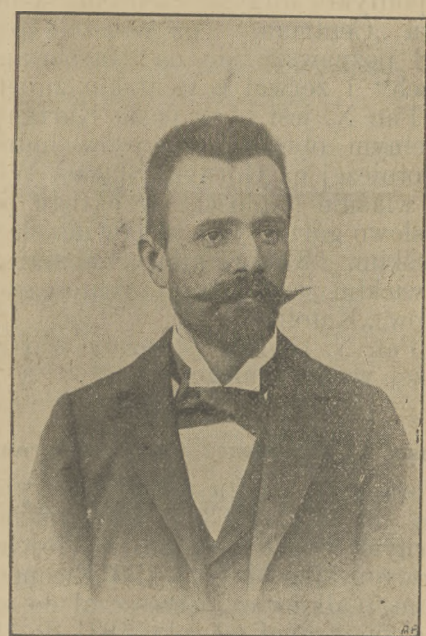
izbie junkrów i urzędników jako jedyny reprezentant swej dzielnicy. Daj nam Boże więcej takich dzielnych mówców i patryotów ze Śląska.

Poseł K. był i jest w parlamencie reprezentantem okręgu katowicko-zabrskiego.

* * *

Poseł Ks. Proboszcz Brandys

wybrany w okręgu opolskim, urodził się w Pawłowicach w powiecie pszczyńskim na Górnym Śląsku, dnia 4 grudnia 1869 roku, uczęszczał 1 rok do



Poseł Adam Napieralski.

gimnazyum w Cieszynie na Śląsku austryackim, a 4 lata do gimnazyum w Mikulowie (Nikolsburg) na austryackich Morawach, będąc pruskim poddanym; potem powrócił do Prus, aby w Pszczynie na Śląsku pruskim ukończyć gimnazyum. W roku 1892 złożył ks. Brandys egzamin. Studyował w Wrocławiu, na księdza został wyświęcony w roku 1896, był kapelanem w Zabrzu, a od roku 1899 jest proboszczem w Dzierzgowicach.

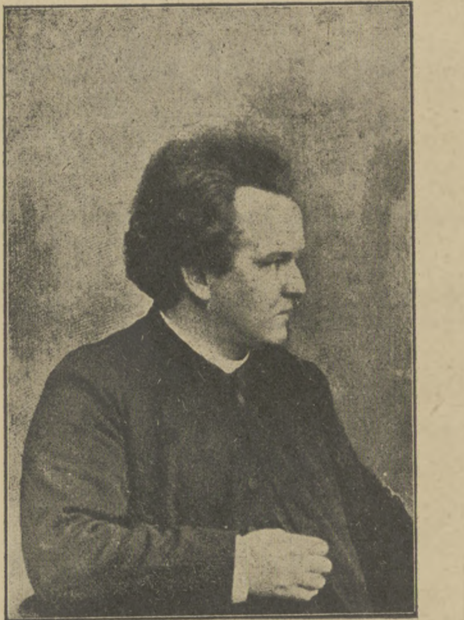
* * *

Poseł Adam Napieralski

wybrany po raz pierwszy posłem do parlamentu niemieckiego dnia 12-go czerwca r. z. w okręgu bytomsko-tarnogórskim w miejsce posła Królika, który złożył mandat, jako drugi poseł polski z Górnego Śląska, większo-

ścią 2,346 głosów po nad wszystkie partye niemieckie, urodził się w W. Ks. Poznańskiem, jest w sile wieku i należy do głównych przywódców ludu górnośląskiego.

Pan N. naczelny redaktor bytomskiego „Katolika“ był do niedawna



Poseł ks. Prob. Aleksander Skowroński.

z polityki sprzymierzeńcem stronnictwa „Centrum,“ aż wreszcie przejrzał poznawszy się na „farbowanych lisach“ i zerwał z Centrum zupełnie.

Pan N. jest obok posła Korfantego dzielnym obrońcą interesów ludności robotniczej na Górnym Śląsku. Wśród tej właśnie ludności, w okręgu przemysłowo-górniczym, w powiatach Bytomskim, Katowickim, Zabrskim i Gliwickim jest główny zastęp czytelników „Katolika.“

Pan N. posłuje ponownie z okręgu wyżej wymienionego.

* * *

Poseł Ks. Proboszcz Aleks. Skowroński

wybrany w okręgu pszczyńsko-rybnickim, ur. 9. 2. 1863 w Laurahucie na Górnym Śląsku z rodziców Wojciecha Skowrońskiego i Weroniki Eleonory z domu Walkiewicz. Uczęszczał do szkoły elementarnej od roku 1871 do 1876, potem do gimnazyum św. Macieja w Wrocławiu od św. Michała 1876 aż do Wielkanocy 1885 roku. Następnie był słuchaczem teologii katolickiej na wszechnicy wrocławskiej i został w roku 1899 przez księdza biskupa kardynała Koppa wyświęconym. Jako wikaryusz pracował w Królewskiej Hucie aż do roku 1893, zkąd został przesiedlonym do Łącznika w powiecie prudnickim. Po 11 miesiącach posłano go do Golca w tym samym powiecie, a znowu po jedenastu miesiącach do Gzymyszowa w powiecie strzeleckim.

W roku 1896 otrzymał od patronatu składającego się z 150 włościan polskich prezentę na probostwo Ligockie (w powiecie prudnickim), które objął 4 stycznia 1897. Po bezskutecznej petycyi księży w 1899 roku do ministra oświaty o język polski w nauce religii założył razem z redaktorem Napieralskim w roku 1900 „Towarzystwo dla szerzenia elementarzy polskich na Śląsku imienia księdza Engla“ a 4 lata później wydał broszurę w polskim i niemieckim języku: „W jakim języku winna być udzielaną nauka religi“. Broszurę tę omówił szczegółowo w piśmie „Ilustracya Polska“ (Kraków-Lwów z 9. 2. 1903 numer 2) redaktor pan I. K. M. W obronie ruchu narodowego zabierał częściej głos w pismach polskich; odezwie księży w roku 1892 przeciw „Nowinom Raciborskim“ odmówił swego podpisu.

Jako drugi przewodniczący Komitetu centrowego w powiecie prudnickim przeprowadził razem z ks. prob. Prantkim z Prudnika wybór pana Strzody do parlamentu i sejmu przeciw kontrkandydatowi niemieckiemu Mittmanowi.

W roku 1903 wystąpił z Komitetu i partyi centrowej i założył razem z p. red. Napieralskim „Polskie Towarzystwo Ludowe,“ którego zasługą jest połączenie zwolenników „Katolika“ i „Górnoślązaka“ w jeden obóz narodowy. Wobec świeżo założonej (1906 r.) „Centrali“ księży centrowych starał się o organizacyę księży ludowych, która się uwydatniła w odezwie 16-tu księży przed ostatniemi wyborami do parlamentu.

W listopadzie z. r. zwołał razem z innymi księżmi wiec do Katowic w obronie pacierza polskiego. Wiec ten z przyczyn wiadomych się nie odbył, odniósł mimo to sukces moralny. W październiku 1906 r. wybranym został przewodniczącym „Towarzystwa Pomocy Naukowej na Śląsk“ we Wrocławiu.

* * *

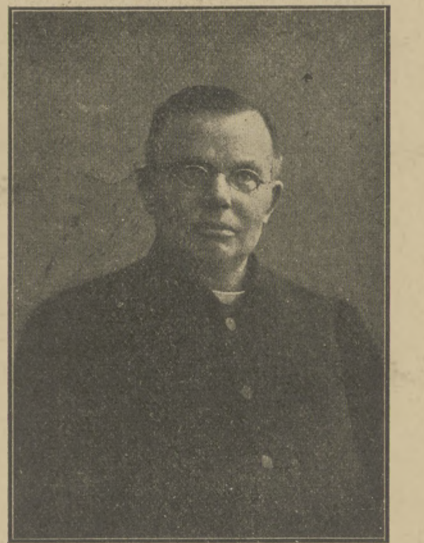
Poseł ks. Proboszcz Jankowski

wybrany w ściślejszych wyborach w okręgu gliwicko-toszecko-lublinieckim, urodził się w Złotowie w Prusach Zachodnich dnia 11 września 1852 roku, uczęszczał do roku 1864 do gimnazyum w Chojnicach, a od roku 1874 studyował w Wrocławiu filologii i teologii, wyświęcony 1887 roku, jest od roku 1891 proboszczem w W. Kotorzu.

* * *

Wybory ponowne naszych posłów przygotowywał następnie komitet centralny wyborczy w odezwie, którą pp. Pilaski, Jackowski z Jabłowa, Anastazy Radoński, Ślaski z Trzebcza, Wł. Wierzbiński podpisali i w której dnia 12-go sierpnia 1867 rodaków zachęcali i wzywali, aby idąc z duchem czasu, który się szczyci uznaniem idei narodowości, nie tylko się zajęli kierowaniem spraw wyborczych w W. Ks. Poznańskiem i Prusach Zachodnich, lecz żeby też wciągnęli w zakres naszych praw wyborczych ludność polską Prus Wschodnich i Górnego Śląska.

Wybory, które się dnia 31-go sierpnia 1867 odbyły, wypadły niestety dla nas niekorzystnie. Tłomaczono sobie ten smutny fakt biernością naszego duchowieństwa, spowodowanego okólnikami ks. arcybiskupa hr. Ledóchowskiego. Posłowie nowo wybrani weszli do parlamentu z tem zadaniem, „aby protest, który w marcu r. 1867 złożyli, nie uległ zapomnieniu, aby nie zardzewiał przedawnieniem, aby sama obecność Polaków w łonie parlamentu niemieckiego odpierała ze strony przeciwników naszych przypuszczenie, ja



Poseł ks. Proboszcz Jankowski.

kobyśmy się praw naszych zrzekali, lub w ponurej rezygnacyi opuszczali zdolne jeszcze do roboty narodowej ręce.“ Na tem więc stanowisku protestu pozostali posłowie polscy w parlamencie Związku Północno-Niemieckiego będący.

Po wojnie francuskiej i po utworzeniu się w skutek tejże Rzeszy Niemieckiej, z parlamentu Związku powstał parlament Rzeszy Niemieckiej. Tak więc i w roku 1871 trzeba było wobec nowej konstytucyi Rzeszy Niemieckiej nasze stanowisko i w tym nowym parlamencie zaznaczyć. Wybory do parlamentu Rzeszy Niemieckiej odbyły się 3-go marca r. 1871. Nim to nastąpiło, uchwalił sejm pruski dnia 19-go stycznia r. 1871 dziękczynny adres do cesarza-króla z powodu zjednoczenia Niemiec, „aby temu uczuciu radości jeszcze przed zwołaniem parlamentu dać odpowiedni wyraz.“ Wskutek tego uchwaliło Koło sejmowe głosować przeciwko adresowi i prezes Koła, dr. Henryk Szuman, uzasadnił głosowanie polską przemową, w której końcowym ustępie powiedział: „Panowie, gdyby projekt adresu był li tylko wyrazem waszej uciechy i radości, bylibyśmy poprostu wstrzymali się od głosowania; ale projekt adresu, który mamy przed sobą, sprzeciwia się prawu autonomii ludów, kiedy już z góry daje wyraz myślom aneksyjnym, które naszemu sumieniu, naszemu przekonaniu się sprzeciwiają i z tego to powodu przeciwko waszemu projektowi adresowemu głosować będziemy musieli.“

Po dokonanych wyborach, które u nas wtedy spór w społeczeństwie, rozdzielającem się na liberałów i ultramontanów, utrudniał, rozpoczął parlament w pierwszej połowie marca roku 1871, poprzedzony preliminaryami pokojowemi z Francyą, swoje obrady. Koło Polskie ukonstytuowało się i obrało dr. Wł. Niegolewskiego prezesem. W skład ówczesnego Koła weszli oprócz poprzedniego posłowie dr. Alfred Żółtowski, Krzyżanowski, Mańkowski, Dziembowski Konstanty, ks. Roman Czartoryski, Wł. Taczanowski, Rybiński, hr. Szembek i Hipolit Turno.

(Dokończenie nastąpi.)



Adolf Hering. **PRZED STU LATY.**
Rozstrzelanie jedenastu oficerów niemieckich, którzy w 1807-ym roku zorganizowali w zachodnich prowincyach Niemiec powstanie przeciw Francyi.

Nowa walka kulturna.

II.

Ośmiu księży skazanych na kaźń więzienną.

Lubawa mała, bo zaledwie 5000 dusz licząca mieścina w Prusach Zachodnich, stała się dnia 29-go z. m. celem licznych pielgrzymek ciekawych z bliższych i dalszych stron.

Miasteczko przyjęło bardzo ożywiony wygląd. Na każdej ulicy, na każdym zaułku spotyka się ludzi rozmawiających i gestykulujących, a rozmowa toczy się ciągle około jednego pytania: „zasądzą ich, czy też uwolnią?"

Fale ciekawych kierują się ostatecznie w stronę przybytku sprawiedliwości, w stronę sądu. Przed sądem jak w ulu.

Wśród tłumów ludu uwija się aż 9 żandarmów, którym poruczono troskę o spokój i porządek publiczny. Mała mieścina ma faktycznie wygląd, jakby nad nią ogłoszono stan oblężenia.

W korytarzach tylko z trudem można się przecisnąć. Setki ludzi na próżno oczekuje wpustki do sali sądowej, w której na ławach oskarżonych zabrało miejsce 8 kapłanów, oskarżonych o przestępstwo § 130 a, przesławnego paragrafu o kazalnicy.

Napróżno wyczekują te rzesze na wpustkę, otrzymuje je tylko mała liczba wybrańców.

Za zielonym stołem zajmują miejsca sędziowie pod przewodnictwem dyrektora sądu ziemiańskiego *Wolschlegera.* Prokuratoryę zastępuje pierwszy prokurator p. *Zitzlaff* z Torunia.

Oskarżonych bronią pp.: *mec. Woliński z Poznania* i *mec. Korytkowski z Lubawy.* Z ośmiu oskarżonych karanych jest dwóch księży z czasów walki kulturnej, ks. dr. Okoniewski karą pieniężną w wysokości 30 marek, drugi ks. Batke w wysokości 500 marek.

Wszyscy oskarżeni oświadczają po odczytaniu aktu oskarżenia, iż zeznawać będą.

Ks. prob. Kowalski z Kazańca oświadcza, iż podpisał znaną odezwę księży dekanatu lubawskiego, że ją odczytał dn. 11 listopada r. z. po nieszporach wiernym i objaśniał. Czuł się do tego zobowiązany przepisami Kościoła katolickiego i sądził, że tem właśnie uspokoi podrażnionych parafian.

Przew. Czy ksiądz rzeczywiście tem co osięgnął, czy nastąpiło uspokojenie wśród zburzonej ludności?

Osk. W odezwie tej znajdował się przecież ustęp, by rodzice rozważnie i spokojnie — chociaż stanowczo — domagali się zaprowadzenia języka polskiego dla nauki religii, by dzieci swe sami nauczali prawd wiary św., by szczepili w ich duszach szacunek dla rodziców i władzy.

Przew. Czy wszyscy księża dekanatu podpisali tę odezwę?

Osk. Nie podpisali jej dziekan i ks. proboszcz Götz.

Adwokat Korytkowski: Dziekan sądził, że zostanie zamianowany kanonikiem i z tego powodu nie chciał sobie psuć karyery. Ks. prob. Götz nie mógł odezwy z powodu choroby podpisać.

Przew. do ks. Kowalskiego: Czy przełożona władza pochwaliła to postępowanie?

Osk. Odmawiam zeznania. (Wszyscy oskarżeni okazują z powodu tego odmówienia żywe zadowolenie.)

Przew. Nie mogłeś ksiądz sobie powiedzieć, że odezwa ta nie może wpłynąć uspokajająco na ludność, bo zawiera takie zwroty, jak: prawo ludzkie i Boskie za wami.

Osk. Nie sądzę, by państwu było wolno wydawać prawa, które stoją w sprzeczności z sumieniem. Przecież nikt do tego zobowiązany nie jest, by sobie pozwolił przemocą wydrzeć język ojczysty. Na mocy reskryptu ministeryalnego z roku 1873 miał być język niemiecki zaprowadzony tylko dla wyższych oddziałów w nauce religii. W rzeczywistości zaprowadzono go w niższych oddziałach. To się dzieje w sposób nieprawny i ten fakt wywołał właśnie tak wielkie rozgoryczenie.

Przew. Czyżby się nie zalecało więcej wskazać ludności drogę zażaleń i petycyi do ks. biskupa?

Osk. Przecież pokoju nikt w żaden sposób nie naruszył.

Przew. Czy takie niebezpieczeństwo w ogóle nie groziło?

Osk. W mej parafii strejk w ogóle nie wybuchł.

Przew. Przecież księdzu wiadomo, że udzielanie nauki religii należy do państwa, a nie do Kościoła?

Osk. *Nie! Takiego prawa państwo nie posiada. Kierownictwo wzgl. nadzór nad nauką religii jest prawem i obowiązkiem władz duchownych. Kościół jest matką, a szkoła jej córą.* Po przestudyowaniu par. 130 a kodeksu

karnego i po przeczytaniu pewnego artykułu „Gaz. Grudz.“, byłem przekonany, że nie popełniam nic karygodnego, dziś nadałbym tej odezwie wprawdzie inne brzmienie.

Prok. Zitzlaff. W odezwie nie powiedziano ani jednem słowem, że chodzi o język polski w niższych oddziałach. Mowa tam tylko o nauce religii ogólnikowo, bez wszelkich ograniczeń.

Osk. ks. dr. Liss. W mojej parafii, liczącej około 4300 dusz, skonstatowałem podczas egzaminu do spowiedzi św., że dzieci posiadają tylko bardzo liche pojęcia o religii. Dawniej, kiedy im udzielano jeszcze religii po polsku, umiały o wiele więcej. Dla tego powziąłem to przeświadczenie, że winą niedostatecznych wiadomości z religii jest nauka jej w języku niemieckim. Z tego powodu my księża zgodzić się nie możemy, by nauka religii była prawem państwa.

Przew. Czyż w rzeczywistości tak nie jest?

Osk. Właśnie dla tego jest naszym obowiązkiem protestować przeciw temu.

Przew. Czyż nie uspokoiłbyś ksiądz prędzej ludności, gdybyś ksiądz był ludziom od strejku odradzał?

Osk. Nie! Toby nic nie pomogło, ludzie sądziliby, że popieramy interesy Niemców.

Osk. ks. Pełka oświadcza: Kierownictwo nauki religii zastrzegł sobie Kościół. Prawo to gwarantuje nam artykuł 24 konstytucyi. Chciaż państwo w to prawo wkracza, to nie jest to jednak sprawą państwa. W odezwie tej mowa jest o maleńkich dziatkach, które nie rozumieją niemieckiego, przestępując zaledwie progi szkoły. Taka nauka jest tylko pustem młóceniem słomy bez zrozumienia i skutku. Nauka religii nie jest nauką językową, lecz nauką ku uszlachetnianiu serca, a to można osiągnąć tylko za pomocą języka, zrozumiałego dzieciom języka ojczystego.

Adwokat Woliński oświadcza, że już teraz chce stawić szereg wniosków, by nie tracić czasu na przesłuchach reszty oskarżonych, a mianowicie między innymi przesłuchania ks. biskupa Rosentretera i ks. biskupa Likowskiego, że obydwaj wysocy dostojnicy Kościoła zażalali się w sprawie dzisiejszego nauczania religii u ministra oświaty.

Wnioskowi temu sprzeciwia się prokurator. Sąd po półgodzinnej naradzie wszystkie wnioski odrzucił.

Ks. prob. Majka: Zaprzeczam, jakobym się dopuścił karygodnego czynu. Nasza odezwa zgadza się najzupełniej z okólnikiem zmarłego ks. Arcybiskupa dra Stablewskiego. Prawie wszyscy duchowni w dzielnicach polskich wydali odezwę, a przeciw nim nie wdrożono postępowania karnego. Gdybyśmy byli powiedzieli naszym parafianom: przestańcie strejkować, byliby nam odpowiedzieli: to jest także Niemiec. Myśmy musieli wpływać w dyplomatyczny sposób na lud, by go uspokoić.

Ks. prob. dr. Okoniewski powołuje się na list ks. biskupa Rosentretera, w którym nawołuje do pracy w tym kierunku, by nauka religii udzielaną była w języku polskim.

Tak samo zeznaje *ks. prob. Wachowski.*

Ks. prob. Batke oświadcza, iż od młodości ma to przekonanie, że nauka religii jest sprawą czysto kościelną. Powołuje się na czworo dzieci ze swej parafii, które po przeczytaniu odezwy strejku zaniechały. Jest to dowodem, że faktycznie wpłynęła ona uspokajająco na ludność.

Ks. prob. Ruchniewicz powołuje się na świadectwo radcy p. Walzera z Grodziczna, że za jego wstawieniem się nastąpiło uspokojenie umysłów w parafii.

Radca Walzer, przesłuchiwany jako świadek, potwierdza zdanie księdza proboszcza, który nadto poradził swym parafianom drogę petycyi.

Na tem skończono postępowanie dowodowe.

Prokurator uzasadniał oskarżenie w następujący sposób. Chodzi tutaj o sprawy państwa w najrozciąglejszem znaczeniu. Do tych należą również sprawy kościelne. Nadzór nad nauką religii spoczywa w rękach powołanych do tego przez regencyę organów. Władzom kościelnym udzielono tylko praw takich w tym względzie, które nie wykraczają przeciw interesom państwa.

Zakłócenia spokoju publicznego nie potrzeba koniecznie wywołać. Wystarczy, jeśli nastąpić ono może, jeśli leży ono w granicach możliwości.

W trzech punktach tej odezwy można się dopatrzeć karygodności. Najprzód znajduje się tam twierdzenie: zaszliśmy już tak daleko, że nam nawet odrobiny polskiego języka nie pozostawiono, 2) że rodzice mają za sobą prawo ludzkie i Boskie, czyli innemi słowy, że rząd działa wbrew prawu Boskiemu, 3) powiedziano tam, by rodzice nie pozwolili sobie odebrać języka polskiego przez nikogo i nigdy.

Gdy tak wpływowi ludzie w ten sposób nawołują, to nie ulega wątpliwości, że mieli przeświadczenie, iż tem samem mogą podkopać powagę państwa i naruszyć pokój publiczny. Taka odezwa nie może się przyczynić do uspokojenia wzburzonych umysłów.

Sposób, w jaki oskarżeni bawili się iskrą przed beczką prochu, mnogość podpisów świadczy o zmowie oskarżonych przeciw powadze państwa, której popieranie powinno być ich najświętszym obowiązkiem. To powoduje go do stawienia wniosku o ukaranie każdego oskarżonego *2 miesiącami więzienia.*

Mecenas Woliński mówił około półtorej godziny, poczem kilku księży oskarżonych zabrało również głos. O godzinie 4 udał się sąd na naradę, poczem po godz. 5 ogłosił przewodniczący wyrok: *1 miesiąc więzienia dla każdego z oskarżonych.* W uzasadnieniu wyroku przyłączył się sąd najzupełniej do wywodów prokuratora.

Na ulicach rosło w tym czasie zaciekawienie wśród tłumów coraz więcej. Wzmocniona tymczasem żandarmerya z trudem tylko utrzymywała podobno porządek. Skoro się oskarżeni i ich obrońcy pokazali, rozległy się gromkie okrzyki „niech żyją“, które przez długi czas nie umilkły.

Podobizny ośmiu zasądzonych kapłanów i ich obrońców zamieszczamy na illustracyi albumowej.

Zygmunt Kossobudzki.)*

U stóp Zbawiciela.

(Z teki pośmiertnej.)

Tam, kędy rzesze wiernych, wieczne zachwycenie,
Jak powiew ciche fale ku zatoce żenie...
Tam, gdzie Chrystus Zbawiciel w cierniowej koronie
Błogosławiącym ruchem rozpościera dłonie
I śle w dal tajemniczą spojrzenia gasnące...
Ujrzałem Cię po długiej bolesnej rozłące...

Stanęłaś cicha, drżąc
U świętych Jego stóp,
Jak istny cud...
Miłością i zachwytem wrząc,
Przywarłem jak on słup
U chramu wrót...

*) Autor powyższego wiersza zmarł dnia 10-go b. m. w Poznaniu w kwiecie wieku, licząc 25 lat wskutek nieszczęśliwego wypadku w teatrze. — Przyp. Redakcyi.

Rozbrzmiały dzwony radosnym hejnałem,
Salve Regina! organy zabrzmiały,
Wierne zastępy kornie chylą czoła,
Wzwyż płyną pienia tryumfalnej chwały.

Słońce przedarło się zza mgieł pieleszy
I prysło na świat świetlistemi groty.
Na Chrysta stopy i twą główkę złotą
Padł jasny, drżący promień szczerozłoty.

. . . .

Za twoje katusze,
W boku tkwiący grot
I ciernisty splot
Wielbić Cię muszę,
O! Chryste!
Zaś za zmiłowanie,
Za on święty cud
I za chwilę złud...
Miłuję Cię, Panie!

I klękam z pokorą i wierzę, żeś Bóg!

. . . .

Tam, kędy rzesze wiernych, wieczne zachwycenie,
Jak powiew ciche fale ku zatoce żenie.
Tam, gdzie Chrystus Zbawiciel w cierniowej koronie
Błogosławiącym ruchem rozpościera dłonie
I śle w dal tajemniczą spojrzenia gasnące...
Ujrzałem Cię nareszcie po długiej rozłące...

Warszawa, w kwietniu 1905 r.

Z dziejów upadku Prus.

VII.

Potyczka pod Tczewem (Dirschau)
23-go lutego 1807.*)

Jenerał Dąbrowski zaczął już był formować cztery regimenta piechoty liniowej i dwa kawaleryi regularnej, a przy tem powstania wojewódzkie. Cesarz sam mianował księcia Sułkowskiego pułkownikiem, bo imiennik jego był przy nim adjutantem w Egipcie i tamże zginął w bitwie pod piramidami. — Potem zostali pułkownikami majętni obywatele, którzy się przyłożyli swemi funduszami do ubrania regimentów, Mielżyński, Łącki, Poniński, Garczyński. Ale do każdego regimentu przeznaczył jenerał Dąbrowski podpułkownika czyli grosmajora z pomiędzy legionistów, albo dawnych sztabsoficerów do organizacyi i rzeczywistego dowództwa. Dowódzcy batalionów, kompanii, szwadronów nawet, byli prawie wszyscy starzy oficerowie, tylko porucznicy i podporucznicy młodzi.

Za życzeniem ojca mego, wstąpiłem jako porucznik do pułku księcia Sułkowskiego [1]) i przeznaczony zostałem do kompanii woltyżerów, którą dowodził kapitan Puchalski, dawny żołnierz Kościuszkowski. — Podporucznikiem w tej kompanii był Gorzeński, bardzo gorliwy i dobry oficer, duszą żołnierz; w naukach wojskowych dobrze się był przygotował.

Gniezno przeznaczone było na nasz garnizon, gdzie zastałem już dwa tysiące rekrutów, najwięcej dobrowolnie przybyłych, i wszystkich oficerów. Zaraz też do kompanii wstąpiłem i służbą się zająłem. — Organizacya, umundurowanie i mustra prędko bardzo postępowały.

Regulamin mieliśmy przysłany przez jenerała Dąbrowskiego, przetłomaczony z francuskiego. Znając pruski, łatwo mi było nowego, daleko prościejszego i o wiele lepiej do obrotów wojennych zastósowanego się nauczyć. — Karabiny dostaliśmy wkrótce, były niedawno fabrykowane, leżały w arsenale w Berlinie, nie zdążono ich wywieść. — Miały wprawdzie bagnety bez proporcyi za długie, dla tego też zmienione potem zostały na francuskie. Mustrowaliśmy się bez broni, ale skoro karabiny nam przyszły, zaraz rekruci się łatwiej nauczyli maszerować i równać, i myślę, że próżną jest rzeczą rekruta długo męczyć i czas tracić na mustrze bez broni, szkołą tak zwaną żołnierza; z karabinem na ramieniu postawa mu się zaraz lepiej wyrabia, a nawet równanie łatwiej utrzymać.

Wesołe było nasze życie w Gnieźnie; mustra całe rano i po śniadaniu francuzkiem. — Na wieczór, po apelu, dawał teoryą taktyki oficerom podpułkownik nasz Majaczewski, a podoficerom major Rogaliński.

Przemarsze francuzkich oddziałów, prawie codzień trwały. Książe Sułkowski zawsze oficerów przyjmował u siebie z uprzejmością. Także często dawano bale w kasynie i u podpułko-



Generał Dezydery Chłapowski
dziedzic Turwi, przyboczny adjutant Napoleona i jeden z najzdolnieiszych generałów z roku 1831-go napisał „Pamiętniki", z których ustęp o potyczce pod Tczewem dzisiaj ogłaszamy. Dzielny żołnierz odznaczył się nie mniej na polu gospodarczem, gdyż wychował całą szkołę uczniów a gospodarstwo w Turwi słynęło przed 40 laty na całe Księstwo.

*) Z „Pamiętników" generała Dezyderego Chłapowskiego. Część I. Wojny Napoleońskie 1806—1813.

[1]) Książe Sułkowski rodził się z Elżbiety Przebędowskiej, wojewodzianki malborskiej, siostry wojewodziny inowrocławskiej Moszczeńskiej, babki jenerała Chłapowskiego. Był więc jego wujem.

wnika, który miał z sobą żonę i córkę. U kanoników bywały obiady i wieczory.

Nadszedł wreszcie rozkaz pożądany wymarszu. Zima była łagodna ale mokra — od piechoty francuskiej przyjęliśmy sposób lekkiego obuwia, to jest zamiast butów, trzewiki i krótkie kamasze, które tak ściskają nogę, że krew w nią nie napływa, i nie nabrzmiewa po zmęczeniu.



Generał Jan Henryk Dąbrowski.

Dnia 23-go lutego 1807-go roku a więc przed stu laty zdobył Dąbrowski na czele dywizyi polskiej idącej z Księstwa, miasto Tczew (Dirschau) nad Wisłą zajęte przez Prusaków. Opis tej ciekawej potyczki dajemy jednocześnie, korzystając z jubileuszu, aby Czytelnikom uprzytomnić oblicze naszego dzielnego wodza, który ze wszystkich spółecznych Polaków miał bez wątpienia najlepsze, bo fachowo-wojskowe wykształcenie i był wzorem dbałości o prostego żołnierza a przytem gorąco miłował Ojczyznę i jej sprawę.

W marszu pobieraliśmy regularnie racyą chleba, mięsa, kaszy lub grochu i wódki. Staliśmy od Gniezna aż do Gniewu zawsze u chłopów. Gotował nam woltyżer, który poprzednio był kuchcikiem przy jakimś dworze. Kapitan nasz zachorował i pozostał w tyle, jużeśmy go więcej nie widzieli. Był on zresztą w dość już podeszłym wieku — dowodziłem więc odtąd kompanią i miałem podporucznikiem bardzo dobrego oficera. — Jadało z nami zwykle, kiedy nie zadaleko stali, czterech podoficerów i kilku żołnierzy na warcie będących, zwyczaj, który od Francuzów przyjęliśmy.

Miałem z sobą służącego, którego mi dał był mój ojciec, ten jechał na moim koniu i miał mój mantelzak. Ja nigdy na konia nie siadałem, zawsze piechotą z kompanią szedłem, tak samo podporucznik Górzeński, który nawet konia mieć nie chciał. Marsze były dość długie, zawsze około 4 mil na dzień, przez Gąsawę, Bydgoszcz, Świecie, Gniew. W Gniewie dojechał nas jenerał Dąbrowski, kilka batalionów z dywizyi na pole wyprowadził i obroty niektóre wykonać kazał. — Ruchy kolumnami szły dobrze, ale rozwinięte bataliony w linii krokiem podwójnym z nadstawionemi bagnetami bardzo źle jeszcze równania utrzymywały, nie dosyć jeszcze byli żołnierze wprawieni, aby oczami tylko strzegli strony kierunku (dyrekcyi), a głów w stronę tę nie nakręcali. — Jak tylko głowę kilku skręci, tak i ciała prostego kierunku nie utrzymają, krok się robi nierówny, cała linia się psuje i roty albo się tłoczą, albo rozchodzą.

Tego samego wieczora dano mi rozkaz maszerowania natychmiast do Ciepła, gdzie stały przednie nasze straże, o pół mili od Gniewu ku Wiśle. — W nocy śnieg mocno prószył, dróżka i ścieżki były już nim pokryte, marsz był przykry. — Przybywszy do ciepła, zameldowałem się majorowi Suchorzewskiemu, który tam dowodził 150 końmi i trzymał czaty. — Przeznaczył z trzech będących tam domów jeden, dla mojej kompanii. Dwa drugie, stajnie i stodoły, zajmował ułanami i ich końmi. — Mieszkańcy wszyscy Polacy, przyjmowali nas bardzo ochoczo, ale zanadto ciasno nam było, ażeby mieć wygodę; żołnierze prócz wykomenderowanych na placówki, zajęli izbę, a dla nas dwóch oficerów i sierżantów trzech, tylko komórkę zatrzymałem. — Wyszedłem zaraz postawić placówkę i czaty z majorem, który w dzień był rozpoznał położenie. — Pierwszy raz staliśmy tak blisko nieprzyjaciela.

Ponad Wisłą kręcili się huzarzy i strzelcy piesze, aleśmy ich nie widzieli, tylko major mi mówił o nich. — Zresztą noc ciemna była i śnieg wciąż pruszył. — Staliśmy tam dzień cały, nad wieczorem przysłano mi rozkaz pomaszerowania do Młynowa, o dwie mile i pół na lewo, tam dopiero nad ranem stanąłem, ponieważ nocą z przewodnikiem bardzośmy wolno tylko po głębokim śniegu maszerować mogli.— Spostrzegłem na górkach, po lewej stronie wsi, ognie całej naszej dywizyi. Wkrótce spotkał mnie oficer, który mi do jenerała Dąbrowskiego udać się kazał. Leżał w chacie na słomie ubrany, wysłał ze mną podpułkownika Hurtig, który poprowadził mnie z kompanią zamiast do obozu, na prawo wsi w parów, i kazał tam rozstawić placówkę i czaty; a ogień na dole rozniecić, przy którym żołnierze gotować sobie mieli.

Czytałem różne regulaminy tak nazwanej małej wojny, i byłem zdania i dziś jeszcze tego samego jestem, że lekka jazda austryacka najlepszą ma do tego instrukcyą. Austryacy też najlepiej czaty dla strzeżenia armii stawiają.



Generał Dezydery Chłapowski
brał jako porucznik piechoty polskiej udział w potyczce pod Tczewem (23. 2. 1807) i rzucił się z kompanią swą pierwszy przez bramę do miasta; ozdobiony za to krzyżem legii honorowej francuskiej zaskarbił sobie tak względy Napoleona, że tenże wziął go później do siebie na przybocznego adjutanta. W roku 1831-go dowodził gen. Dezydery Chłapowski korpusem na Litwie a za kilka zwycięzkich potyczek mianował go Skrzynecki generałem dywizyi.

Rozstawiłem więc podług mego zdania straże po pagórkach i powróciłem do kompanii, która tymczasem w dołach, gdzie ziemniaki zapewne przechowywują, ale już dawno wydobyte

były, porobiła ognie i do gotowania się zabrała. — W jednym dole siadłem, by się od wiatru schronić, i przykrywszy głowę kołnierzem od płaszcza, — a raczej był to surdut z peleryną, bo w płaszczu trudno było maszerować — przespałem kilka godzin spokojnie, a podporucznik, na którego się spuścić



W drodze!

W czasie kampanii przeciwko Prusakom w jesieni roku 1806-go przebiegał cesarz Napoleon konno nieraz bardzo dalekie przestrzenie, pędząc nieprzyjaciela, pobitego pod Jeną, przed sobą. Rycina przedstawia nam cesarza w otoczeniu straży przybocznej (guides) guidów, których nieodstępny szwadron wszędzie mu towarzyszył. W oddali na prawo widzimy nadciągającą tylną straż cesarską. Koń arabski cesarza zgubił w drodze podkowę; kowal przykuwa nową a zwierzę trzymane przez szeregowca guidów wytrzymuje spokojnie zadnią prawą nogę. Oficer straży czeka przy boku cesarza, który sam dopilnowuje, aby robota szła gładko i porządnie. Na boku Łużyczanie z respektem przyglądają się scenie; widać, że cesarz w pościgu za wojskiem Hohenloe'go już zaledwie na kilkanaście mil tylko znajduje się od Berlina. Kompozycya tchnie prawdziwem życiem i pokazuje nam ówczesnego mocarza świata w zwyczajnem życiu żołnierskiem.

mogłem i który był pierwej spoczął, warty zmieniał.

Nazajutrz przyniósł mi oficer od sztabu rozkaz połączenia się z regimentem. Dopiero od niego dowiedziałem się, że cała nasza dywizya pomaszerowała na lewo do Młynowa, dla tego, że korpus pruski wyszedł był z Gdańska i chciał legią tak zwaną północną, którą dowodził książę Michał Radziwiłł, od nas odciąć i jej połączeniu się z nami przeszkodzić, ale legia bez nas zbiła ten korpus i weszła do Starogrodu.

Liczyła ona 3000 ludzi, samych żołnierzy pruskich wziętych pod Jeną do niewoli. Oficerowie byli wszyscy z tych, co z Włoch przybyli.

Myśmy znów powrócili na drogę główną do Gdańska, ale już nie do Gniewu, lecz do wsi przed to miasto, której nie pomnę nazwiska, ponieważ mnie zaraz z kompanią wysłano do przedniej straży. — Tą dowodził Jan Dąbrowski syn jenerała, i stał w Sułkowie, o półtorej mili od Tczewa *).

— Kazano mi stanąć tuż za wsią. — Chłopi wszyscy Polacy nanosili nam jedzenia, aż nadto hojnie. — Nazajutrz ciemno jeszcze było, jak przybył jenerał Dąbrowski, a oficer będący przy nim, zawołał na mnie z drogi, żebym z kompanią maszerował przez całą wieś i przed nią stanął. — Tam zastałem jenerała otoczonego synami, wyższymi oficerami, starszyzną, jak mówią nasze wiarusy, którym dawał rozkazy ataku na Tczew. Mnie, jako dowódzcy kompanii woltyżerów, kazano także przystąpić do koła, bym te rozporządzenia słyszał. Kazał mi jenerał maszerować zaraz za pierwszym szwadronem, który przed samemi ogrodami przedmieścia miał się usunąć na bok, a ja, pół kompanii z podporucznikiem, rozpuściwszy w tyraliery po ogrodach, miałem sam z drugą półkompanią żywo wpaść pomiędzy domy przedmieścia, aż do bramy zwanej nadwiślańską, do której batalion nasz z kompanią grenadyerską na czele miał szturmem się dobyć. — Drugi batalion nasz przeznaczony był do zdobycia bramy zwanej młyńską. Jazda podczas szturmu miała obejść miasto w lewo i stanąć w obserwacyi bramy gdańskiej, aby uderzyć na cofającego się z miasta nieprzyjaciela.

Rozporządzenia te wydał jenerał Dąbrowski jak najjaśniej, tak że każdy mógł je zrozumieć. — Marsz zaraz się rozpoczął i trwał około dwóch godzin. Skorośmy miasto spostrzegli i po pagórkach huzarów pruskich, poczęliśmy maszerować tem spieszniej. Kilka wystrzałów karabinowych i pistoletowych pomiędzy sobą tyraliery jazdy wymienili, które nikogo, jak zwykle strzały jazdy, nie raniły. — Przybliżywszy się do przedmieścia, szwadron przedemną kłusem na lewo się usunął, a ja puszczając drugą sekcyą w ogrody, sam z pierwszą frontem, spiesznym krokiem, drogą do ulicy przedmieścia dążyłem równocześnie z tyralierami na lewo i prawo, którzy się przez płoty przeprawiali. — Dopuścili nas Prusacy blizko domów, a z tych oknami, drzwiami i dziurami w ścianach porobionemi, dali razem ognia do mojej półkompanii, tak że podoficer, który przy mnie na lewo biegł naprzód, padł śmiertelnie ugodzony. Padło i za mną kilku, więcej rannych zostało. — Pierwszy ten ogień zrobił wrażenie na wszystkich, poprzewracani, zabici i mocno ranni, zostali oczywiście na placu, a zdrowi poszli w rozsypkę. — Przyznaję się, żem głowę w tej chwili stracił. — Mój podoficer z nazwiska Moroh, tak nagle padł, że mnie potoczył.

Spojrzawszy nań i obaczywszy twarz białą jak śnieg a całe ciało bez ruchu, straciłem głowę. Jednem słowem uciekliśmy wszyscy z 150 kroków może w tył, aż kompania nasza grenadyerów na czele batalionu nas doszła. Wtedy zebrałem ludzi i znów wyprzedzając batalion, wpadłem z nimi pomiędzy domy, ale Prusacy na atak całego batalionu nie czekali. Biegnąc pomiędzy domami na przedmieściu, widzieliśmy jak przed nami uciekali. — Z tyłu było kilku konnych, goniliśmy za nimi, ale wpadli do miasta i bramę zawarli. — Byliśmy wtedy może o sto kroków od bramy, kiedy grad kul padł na nas ze strzelnic w niej do ręcznej broni wyrobionych i z domów na wale po prawej stronie.

Powywracało się kilkunastu naszych, — wtem nadjechał konno nasz podpułkownik Sierawski i kazał nam się za domy najbliższe schronić, mówiąc: „poczekajcie tu, przyjdzie zaraz armata i bramę rozbije.“ — Sam pozostał jednak na ulicy, uśmiechał się, jak kule szeroki płaszcz jego granatowy przedziurawiały. Patrzałem z za domu z podziwieniem na jego zimną krew. Po kilku minutach, najwolniejszym krokiem, zwrócił się w tył i pojechał do batalionu, który także kompaniami był się za domy za nami schronił. Tym sposobem ulica została próżna, ale wprzódy kule do batalionu tak

*) Miasto, położone nad Wisłą w Prusach Zachodnich, w obwodzie regencyjnym gdańskim w powiecie starogardzkim.

dochodziły, że prócz wielu żołnierzy padł podpułkownk Muchowski, a adjutant major Józef Bojanowski, mocno rannym został. — Rannych naszych żołnierzy, mimo kul do domów odnosili, mojej kompanii jedenastu.

Przeszło jednak dobrze pół godziny nim armata z francuskimi kanonierami przybyła i odprzodkowała. Przed nią przyjechał konno jakiś stary oficer z adjutantem jenerała Dąbrowskiego, Bergenzonim, któren zaraz ugodzony śmiertelnie kulą, spadł z konia obok domu, za którym staliśmy w masie. Francuz ani się ruszył, jak gdyby nie wiedział, że ten spadł obok niego. Pierwszy strzał armatni tak przy nim blisko dmuchnął, że mu się kapelusz galonowy na głowie nakręcił.

Za trzecim strzałem runęła brama i tenże oficer do mnie powiedział po francusku: „Dalej młodzieńcze zaròb na krzyż, ruszaj w miasto''. — Ruszyliśmy pędem, wpadli do miasta, pomiędzy Prusaków, którzy się już nie bronili, a my za uciekającymi dobiegliśmy aż na rynek, a za nami wkrótce batalion. — Mnie zaraz kazano maszerować na drugą stronę miasta, a jednę kompanią za Prusakami w ulicę na prawo posłano. — Później się dowiedziałem, że do kościoła z dowódzcą swoim się schronili, i tam się poddali, prócz cząstki, która przez słaby lód Wisły uciekała, ale z tych podobno wielu się utopiło. W kościele zabrano jenerała Roth i około 800 ludzi, główie z regimentu strzelców uczonych, dla tego też tak celnie z okien i z za bramy strzelali i nam sto pięćdziesiąt kilku ludzi w batalionie ubili.

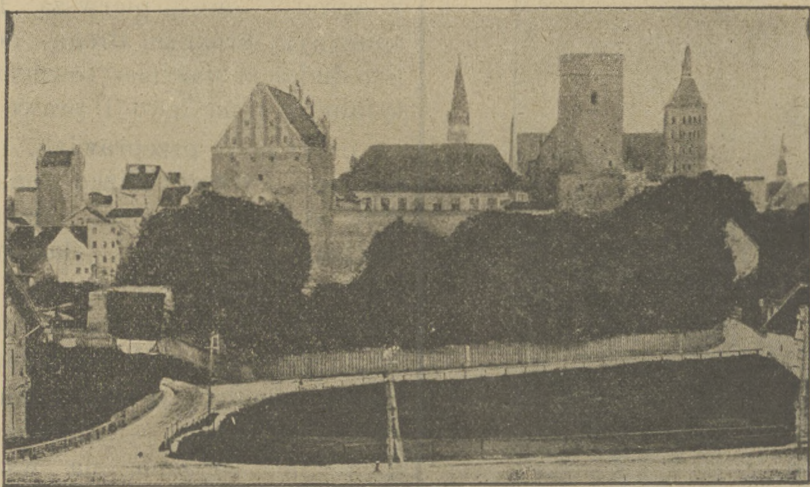
Skoro stanąłem za miastem, dano mi rozkaz pomaszerowania o pół mili naprzód do Stamberga małej wioski, z 6-ciu biednych chałup złożonej, i ztamtąd aż pod Wisłę placówki i czaty porozstawiać.

Ta pierwsza potyczka pod Tczewem, nastręcza mi uwagę, że młodych żołnierzy, którzy jeszcze w ogniu nie byli, nie należy rozpuszczać w tyraliery. Bezpieczniej jest trzymać ich razem w szeregach, w małych oddziałach, a przy każdym takim oddziale oficera. Można przez te oddziały z wielkiemi odstępami zająć tyle przestrzeni ile wypada i ileby tyraliery po dwóch żołnierzy zajęli.

Jenerał Dąbrowski podczas potyczki, był przy naszym drugim batalionie i został rannym. — Po nim objął komendę jenerał Kosiński, a w kilka dni potem, przybył starszy od niego Gielgud garbaty.

Batalion z księciem Sułkowskim wszedł był do miasta prawie równocześnie z nami, tak że z rynku widzieliśmy go już wchodzącego w ulicę. — Maszerując do Stamberga, na prawo od drogi do Gdańska, usłyszeliśmy działowy i ręczny ogień około milę przed nami i dowiedzieliśmy się w kilka godzin potem, że z Gdańska maszerowała kolumna na pomoc Tczewu, ale że jenerał Menard z północną legią od Starogardu idąc, zatrzymał ją i do cofnięcia się zmusił. Ogień nie trwał dłużej nad godzinę¹).

¹) Za potyczkę pod Tczewem otrzymali Legię honorową, wedle rozkazu dziennego jenerała Dąbrowskiego z dnia 14-go marca, ogłoszonego w „Gazecie Poznańskiej“ z dnia 31-go marca 1897 r.: 1. Hauke, pułkownik, szef stabu; 2. Pakosz, podpułkownik adjutant z regimentu 1-go piechoty; 3. ks Sułkowski, pułkownik; 4. Majaczewski, podpułkownik; 5. Muchowski, podpułkownik; 6. Bojanowski, adjutant major 7. Puchalski, kapitan; 8. Chłapowski, porucznik; 9. Chojnacki, sierżant major; 10. Bojanowski, sierżant major; 11. Malinowski, sierżant; 12. Szalin, kapral; 13. Czuprynkiewicz, żołnierz; 14. Charlet, oficer artyleryi francuskiej.



Zamek krzyżacki w Olsztynie.

Olsztyn (Allenstein) miasteczko w Prusach Wschodnich (wychodzi tam polska „Gazeta Olsztyńska“) było w roku 1807 przedmiotem walk między wojskiem Napoleona a Rosyanami, którzy przyszli byli ratować Prusaków. W murach pięknego zamku krzyżackiego mieszkali przed stu laty: Napoleon i jego marszałkowie Ney i Davoust, którzy bronili Rosyanom przejścia przez rzekę Alle. Dziś jeszcze warto widzieć Olsztyn i zamek krzyżacki dla jego wspaniałej architektury.

Przymaszerowawszy do Stamberga, rozpoznałem położenie, postawiłem dwie placówki ponieważ były dwie groble. Na jednej z nich droga prowadziła do drugiej wsi, którą o pół mili widać było na Żuławach, druga szła nad samą Wisłą. — Rozchodziły się od Stamberga pod ostrym kątem, dalej były prawie równoległe. W tej porze roku tylko groblami na Żuławach przeprawiać się można. — Pomiędzy niemi była woda po łąkach. Ponieważ zaraz wychodząc z Tczewa, oddano mi 2-gą kompanią woltyżerów, której kapitan był rannym, miałem w obydwóch 200 ludzi i 50 strzelców celnych, po kapitanie Gołaszewskim, który był zginął. — Miałem więc pod komendą 254 ludzi. Na każdej grobli postawiłem po 40, aby w przypadku, na groblach bronić się mogli. — Placówki te stawiały po dwie czaty, na każdej grobli o 200 kroków w dzień a o 100 w nocy.

Nazajutrz, ponieważ się zanosiło, że tam kilka dni postoimy, zaprowadziliśmy wozy i stare tarcice, któreśmy w wiosce znaleźli, i przed każdą placówką na grobli, zrobiliśmy zaporę, a za nią budy dla żołnierzy i dla ochrony od słoty, i dla obrony od nagłego napadu. — Tym sposobem, chociaż wioska o kilkaset kroków od placówki leżała, mogliśmy spokojnie po domach spocząć.

Perły boleści.

Tam w głębi morza kędy śpieszne fale
Grzmotem się wichrzą w nieustannej wojnie,
Kędy straszydła gnieżdżą się po skale,
Tam w głębi morza marząc niespokojnie,
W dawny korabi zagrzebana szczątek,
Targa się koncha — kapłanka pamiątek!

I serce wieszcza równie się zanurza
W ostatnim schowku rozbitego domu,
A tam drżąc słucha, jak nim nosi burza,
Jak resztki słupów stękają od gromu,
A potem czuje w sobie, jak w opalu,
Wszystke kolory nieszczęścia i żalu!

I serce koncha długo w sobie mieści,
Wszystkie te bole zgromadzone razem,
Potem jak wielka królowa boleści,
Drętwieje w męce i staje się głazem.
A na oznakę jej własnego berła,
Zostaje światu — pieśń-perła!

Kornel Ujejski.



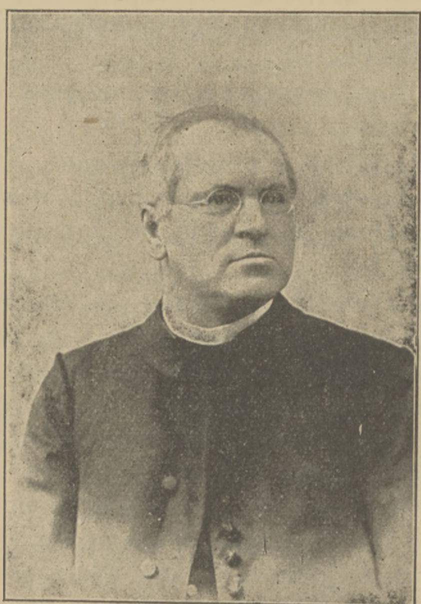
J. Ryszkiewicz. **Na biwaku.**

Z żałobnej karty.

Śp. ks. Wojciech Andersz.

Zaledwie minęły dwa tygodnie, gdy ś. p. ks. Wojciech Andersz stawał przed kratkami sądowemi w Gnieźnie cały schorzały, oskarżony za strejk szkolny, aż oto dochodzi wiadomość o jego śmierci. Na skutek donosu nauczycielskiego wytoczono ks. Anderszowi proces i skazano na cztery tygodnie więzienia fortecznego. Dziś leży już na marach ten zacny kapłan i gorący patryota polski. Cały żywot kapłański tego czcigodnego sługi Bożego, to jedno pasmo walki i cierpień. Wyświęcony na kapłana w roku 1873, w czasie kiedy rozpoczynała się walka kulturna, przez cały ciąg tej walki był ścigany i prześladowany i zapoznał się już wówczas z pruskiemi więzieniami i karami pieniężnemi. W tułactwie po archidyecezyach w ciągłej obawie przetrwał nieboszczyk walkę kulturną.

Po przebytej walce kulturnej dostał się na probostwo w Spławiu pod Stęszewem i tutaj znów stanął do walki ze znanym firmowym hakatystów, z p. Tiedemannem z Jeziórek, gdyż ksiądz tej polskiej duszy, jakim był nieboszczyk, nie mógł się zgodzić z przywódzcą hakaaystów, był z nim w blizkiem sąsiedztwie. Skończyło się na tem, że śp. ks. Andersza przeniesiono do Strzałkowa. Gdy śp ks. Andersz przebywał na probostwie w Spławiu rozwijał ruchliwą działalność obywatelską, brał wielce czynny udział we wyborach, a chciano go nawet postawić na kandydata poselskiego.



Ś. p. ks. Wojciech Andersz.

Będąc w Skarboszewie również pracował dla dobra sprawy polskiej, tylko już go cierpienia cielesne powstrzymywały od ruchliwszej pracy, przechodził też wiele zgryzot. Krótko przed śmiercią jeszcze jego imię zabłysło w całej polskiej ziemi, bo znów się stał kapłanem męczennikiem, ale nie danem mu już było tego cierpienia ponieść, a Bóg powołał go do lepszej chwały, gdzie już kaźni czterotygodniowej odsiadywać nie będzie potrzebował.

Zmarł przedwcześnie, bo liczył dopiero 57 lat. Szkoda takich dzielnych kapłanów-patryotów, właśnie w tym czasie srogiego ucisku.

Cześć pamięci zacnego kapłana — obywatela i gorącego Polaka. — Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie, a światłość wiekuista niech mu świeci na wieki wieków!

Jarosław Kwapil

którego utwór sceniczny „Obłoki“ (Oblaka) ujrzy wkrótce scena polska w Poznaniu, urodził się dnia 25-go września r. 1868 w Chudzienicach w Czechach. Odbywszy studya gimnazyalne, przybył w roku 1886 do Pragi, studyował na uniwersytecie medycynę i filozofią, a następnie oddał się całkiem studyom literackim i dziennikarstwu. Od r. 1891—1898 był członkiem redakcyi kilku czeskich pism wybitnych, poczem od r. 1898—1909 redagował wielki literacki tygodnik „Zlata Praha.“ W roku 1900 powołano go do teatru na urząd dramaturga i reżysera; w roku 1906 był głównym reżyserem komedyi.

Literacka działalność Jarosława Kwapila obejmuje lirykę i dramat. Od roku 1889 wydał cały szereg tomików poezyi, z których należy wymienić utwór p. t. „Padajice hoezdy“ (Spadające gwiazdy), „Rużowy kierz,“ „Oddenost“ (Wierność) „Andante“ i inne. Jako dramaturg debiutował z powodzeniem w „Narodniem Divadle“; w roku 1896 napisał czteroaktową

komedyę „Bludiczka“, której treść zaczerpnął z życia pragskiego, atoli największem powodzeniem cieszyło się jego dzieło sceniczne „Princezus Pampeliszka“, które się stało jednym z najulubieńszych utworów.

Sztukę „Oblaka,“ napisaną w r. 1903, wystawiono kilkakrotnie, także w Niemczech, jak w Lipsku i Wiedniu. W roku 1906 wystawiono w „Narodniem Divadle“ nowy jego utwor „Sirotek.“



Jarosław Kwapil.

Działalność literacka Kwapila objawia się w ostatnim czasie na polu jego pracy reżyserskiej, znajdującej uznanie także w prasie zagranicznej. Małżonką poety jest Hana Kwapilowa, jedna z największych czeskich artystek i jej występy na scenach w Lublanie i Zagrzebiu znalazły bardzo pochlebną ocenę. Dla niej to przeważnie pisał autor główne role w swych utworach scenicznych.

Oprócz dzieł wymienionych napisał znakomity poeta czeski „Basnikuv Dennik“ (Dziennik poety) „Ticha laski“ (Tajemnicza miłość), „Rusałka“, oraz dokonał on licznych przekładów dzieł Björnsona, Gelberta, Ibsena i innych autorów.

Znamienny i bardzo ciekawy proces

rozgrywał się w zaprzeszły piątek dnia 8 b. m. przed Izbą karną w Lesznie. Przebieg procesu podajemy za „Gaz. Polską“.

Oskarżonym był *gospodarz Adam Pernak z Stwolna pod Rawiczem „o obrazę nauczycieli i poniżanie urządzeń państwowych przez kłamliwe twierdzenia“*.

Przestępstwa tego miał się dopuścić p. Pernak w pięknej swej mowie, wygłoszonej na wiecu w Dubinie dnia 24 czerwca przeszłego roku.

Słowa zawierające rzekomą obrazę brzmiały mniej więcej jak następuje: „Dzisiaj zamiast dawnej miłości panuje kij w szkole! ile to razy czytamy w gazetach o pobiciu dzieci naszych aż do krwi, ale nie potrzebujemy daleko szukać, bo i u nas w Zielonejwsi takie rzeczy się dzieją, a gdyśmy się poskarżyli, to nam odpowiedziano, że nic karygodnego w tem nie było; też gdy bydło dzisiaj się bije, jest się karanym, ale za pobicie dzieci naszych do samej krwi — kary nie ma — tak więc dzieci nasze stoją niżej od bydła.“

To był najgłówniejszy ustęp mowy, z powodu którego prokurator wytoczył proces, który się zakończył po całodziennych przesłuchach 26 świadków, pomiędzy którymi było 4 inspektorów szkolnych, zupełnem uwolnieniem oskarżonego.

Przebieg procesu był tak ciekawym, że przytoczymy tutaj najgłówniejsze zeznania świadków.

Na wstępie samym stwierdza oskarżony, że on obecnych nauczycieli z Zielonejwsi nie miał na myśli, ani ich też obrażać nie chciał, tylko twierdzenia jego odnosiły się głównie do nauczyciela Hofmana obecnie w Żylicach (Schlitze) pod Rawiczem i do nauczycielki p. Winkelmann obecnie zamężnej Barlitz.

Bronił oskarżonego p. mecenas Ruszczyński z Leszna.

Najpierw przesłuchiwano jako świadka sekretarza policyi p. Witusch a z Poznania, który wiec w Dubinie dozorował.

Przewodniczący sądu p. Schlüter badał świadka, w jaki sposób on pisze relacye swoje z wieców, czy stenografuje słowa polskie, czy też je zaraz po niemiecku spisuje, tłumacząc je w głowie. Świadek zeznaje, że słowa polskie natychmiast tłumaczy na niemieckie i stenografuje po niemiecku, opuszczając tylko łączniki (Satzverbindungen) między pojedyńczemi zdaniami.

Prezydent sądu wyraża swoje powątpiewanie, czy sprawozdanie tak spisane może być zupełnie dokładne i wiarogodne, gdyż łączniki zdań są przecież bardzo ważną rzeczą dla całego zrozumienia sensu, a prócz tego prawie jest niemożliwem, aby pisząc w ten sposób, jak świadek zeznawał, dokładny tekst mowy przedłożyć zdołano.

Świadek Witusch tekstu mowy z głowy nie pamięta i powołuje się przy pytaniach co chwilę na to, co swego czasu spisał — czego jednak sąd odczytać nie pozwala.

Następny świadek ks. prob. Zakrzewski z Golejewka zeznaje, że komitet wyborczy powiatu rawickiego, którego jest przewodniczącym, wybrał był swego czasu mówcę wiecowego w sprawie szkolnej p. Pernaka, ponieważ wiedziano, że jest zdolnym i rozgarnionym mówcą, na treść jednak tej mowy, ani na jej formę nie wpływał wcale, owszem pozostawił zupełną swobodę p. Pernakowi; przyznaje jednak, że gdy mu tenże kilka dni przed wiecem treść swej mowy pokrótce powiedział, dał na nią swą aprobatę czyli zupełnie się z tą treścią zgodnym oświadczył.

Ksiądz Zakrzewski zeznaje w dalszym ciągu, że do protestujących wieców, jak ów w Dubinie, wzywała sama władza duchowna; na wzmiankę przewodniczącego, że przecież religia jest po polsku udzielana w najniższym oddziale i często nawet na średnim, oświadcza ks. Zakrzewski, że w jego własnej parafii jest szkoła, w której nawet na najniższym stopniu udzielana jest religia po niemiecku — w takim razie — odzywa się jeden ze sędziów — musi być pewnie większość dzieci niemieckich. Ks. Zakrzewski odpowiada: nie ma ani jednego niemieckiego dziecka.

Konsternacya była wśród sędziów na te słowa widoczna — prokurator i sędziowie szukają w księgach odnośnych reskryptów rejencyjnych i odczytują po chwili, że religia na najniższym stopniu winna być udzielana w języku ojczystym — w innych zaś oddziałach może być w języku niemieckim udzielaną za osobnym reskryptem rejencyi.

Na dalsze pytanie przewodniczącego, dla czego więc w parafii ks. proboszcza nawet w najniższym oddziale zaprowadzono religią po niemiecku, odpowiada ks. Z., że dla tego, że przysyłają nauczycieli nie znających ani jednego polskiego słowa i im się oddaje całe jednoklasowe szkoły — że nauczyciele nie umieją słowa po polsku, temu seminarya nauczycielskie są winne, w których zupełnie skasowano naukę języka polskiego, a mimo to nominalnie (!) ją się zachowuje przy nauczaniu religii dzieci najmłodszych.

Dalej zeznaje świadek ks. Z., że jeżeli dzisiaj wyrzuca się ze szkoły religią w polskim języku, to równocześnie znosi się jedyną godzinę polskiego czytania w tygodniu, co jeszcze więcej niezadowolenie powiększa.

Na te wywody ks. Z. odzywa się jeden ze sędziów do przewodniczącego, że teraz zaprowadzona jest zupełnie inna metoda w szkołach t. zw. „Anschauungsunterricht“, który postępowanie dzisiejszej szkoły usprawiedli-

wia — na to p. przewodniczący Schlüter odpowiada, „chciałbym widzieć, jakbym ja n. p. za pomocą tej metody po polsku się nauczył“.

Przewodniczący stawia potem różne pytania ks. Z., co do wrażenia, jakie mowa p. Pernaka zrobiła, czy mianowicie można było wnioskować, że mówił o obecnych nauczycielach z Zielonejwsi, czy też tylko ogólnie się wyrażał.

Ks. Z. odpowiada, że o ile pamięta, p. P. osób żadnych nie dotykał, a treść jego mowy można krótko zebrać w tych słowach: chwalił szkołę dawniejszą, a potępiał system i szkoły dzisiejsze.

Po tych ogólnych przedwstępnych świadectwach przystąpił sąd do badania prawdy, czyli, na jakiej podstawie p. Pernak mógł tak ostre stawiać twierdzenia i słowa potępienia dla dzisiejszej szkoły.

Oskarżony zeznaje, że może świadkami udowodnić, że nauczyciel Hofman przed kilku laty nie tylko bił bez litości dzieci z błahych powodów, ale nawet kijem czy trzciną dzieci bił po głowach i twarzy i biegał po ławkach, — bijąc na prawo i lewo; prócz tego nauczycielka Winkelmann spowodowała raz nierozsądnem karaniem chorobę pęcherza jego własnej córce, a gdy się dozór szkolny do prokuratora na nauczyciela poskarżył, odpowiedziano dozorowi, że nic karygodnego nie zaszło.

Te fakta miały być teraz udowodnione. Występują po kolei świadkowie i inspektorowie szkolni.

Radca dr. Zahlfeld obecnie w Kwidzynie (Marienwerder), dawniej w Rawiczu, zeznaje, że Hofmanna nieraz za zbyt ostre postępowanie upominać musiał i że tenże przekroczył kilkakrotnie prawo karania dzieci.

Emerytowany radca szkolny Wenzel z Rawicza stwierdza, że pani Winkelmann nie postępowała prawidłowo, że sam ją z tego powodu upominać musiał.

Teraźniejszy inspektor szkolny Jonetz z Rawicza zeznaje, że teraz p. Hofmann nie daje powodu do skargi.

Z zeznań czwartego inspektora szkolnego Brüssowa z Jutrosina zrezygnowano.

Świadek główny: nauczyciel pan Schmidt zeznaje, że nieraz upominał Hofmanna, aby dzieci nie katował.

Następnie cały szereg świadków zeznaje pod przysięgą o znęcaniu się Hofmanna nad dziećmi w Zielonejwsi, w kilkunastu przypadkach dzieci same, po części wypuszczone ze szkoły, świadczą, że nauczyciel ten bił je po głowie i po twarzy trzciną, jeden chłopiec 16 letni Misiek z Wydaw zeznaje, że nauczyciel ten uderzał go głową o tablicę i o ławkę, inne dziewczę, obecnie służąca w Sarnowie, potwierdza, — że bił po głowach i rękach.

Gospodyni Niedźwiecka z Ugody stwierdza, że jej dziecko z płaczem i pręgami na rękach jak powrozy grubemi do domu wracało i mówiło: „matko, choć mnie zabijecie, to już do szkoły nie pójdę“.

Zeznania te wywołują poruszenie i konsternacyą wśród sędziów i słuchaczy.

Przewodniczący oburzony powiada, że i każdego ojca lub matkę by karał, gdyby w ten sposób z swem własnem dzieckiem się mieli rodzice obchodzić!

Przesłuchy świadków skończyły się około pół do 7 wieczorem.

Prokurator mimo zeznań świadków podtrzymywał oskarżenie i wobec zbyt ostrych słów p. Pernaka w mowie inkryminowanej wniósł o 100 marek kary lub 20 dni więzienia.

Pan mecenas Ruszczyński w treściwem przemówieniu prosił sędziów o uwolnienie zupełne oskarżonego, który jako rozżalony ojciec miał prawo do potępienia takich stosunków szkolnych, jakie nam dzisiaj pod przysięgą udowodnione zostały — a prócz tego przytoczony paragraf karny nie może znaleść tutaj zastosowania, boć chyba nie jest to urządzeniem państwowem, aby nauczyciel skakał po ławkach i na prawo i lewo bił dzieci trzciną po głowach!

Sąd po półgodzinnej naradzie wydał wyrok uwalniający zupełnie pana Pernaka, uzasadniając go tem, że choć słowa oskarżonego były obrażające, tenże zamiaru obrażenia nikogo nie miał, tylko chciał swe zdanie o stosunkach szkolnych, które go bolały, wypowiedzieć publicznie i je skrytykować, do czego każdy pruski obywatel ma prawo — a że się wyraził w sposób ostry i niewłaściwy, po udowodnieniu takich smutnych wypadków za winę poczytywać mu nie można, tem więcej, że choć jest inteligentnym, należy do klasy pracującej na roli.

Owszem, przyznaje sąd, że przedstawienie oskarżonego i porównanie dzieci z bydłem było o tyle uprawnione, że rzeczywiście skarga dozoru do prokuratora na owego nauczyciela swego czasu nieprzyjętą została!

Z uczuciem zadowolenia opuszczali wszyscy Polacy salę sądową — smutna prawda i sprawiedliwość zwyciężyła.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 24-go lutego 1582 zdobycie Dorpatu. — 1793 manifest króla pruskiego przeciw Gdańskowi.

Dnia 25-go lutego 1563 zajęcie Pskowa przez Moskwę. — 1731 hołd księcia kurlandzkiego. — 1831 krwawa rozprawa z Moskwą pod Grochowem. — 1832 zawiązanie w Londynie Towarzystwa literackiego.

Dnia 26-go lutego 1383 na sejmie w Sieradzu Jadwiga królową ogłoszona. — 1430 Władysław Jagiełło rozprzestrzenia przywileje szlacheckie. — 1654 Moskwa prosi o pokój. — 1701 przymierze Augusta II. z carem Piotrem w Birzach. — 1831 Skrzynecki naczelnym wodzem. — 1846 klęska pod Gdowem.

Dnia 27-go lutego 1290 zwycięstwo Władysława Łokietka nad Konradem. — 1369 traktat zaczepny i odporny z Węgrami w Budzie. — 1380 zawarty traktat z mistrzem inflantskim. — 1670 ślub Michała Wiśniowieckiego z Eleonorą Austryaczką w Częstochowie. — 1837 zamordowany w Wilnie Szymon Konarski. — 1846 pobożna procesya przez Austryaków na Podgórzu wymordowana.

Dnia 28-go lutego 1258 trzęsienie ziemi w Polsce. — 1572 śmierć Katarzyny, żony Zygmunta Augusta. — 1812 śmierć Hugona Kołłątaja.

Dnia 1-go marca 1456 urodzenie Władysława Jagiellończyka, króla czeskiego i węgierskiego. — 1634 Moskale składają broń pod Smoleńskiem. — 1824 zamknięcie szkół w Kiejdanach.

Dnia 2-go marca 1258 Bolesław Wstydliwy ustanawia sądy w Korczynie. — 1333 śmierć Władysława Łokietka. — 1410 ugoda z Krzyżakami zawarta w Budzie. — 1427 śmierć królewicza Kaźmierza Jagiellończyka.

Treść działu illustrowanego: Z bieżącej chwili Członkowie Koła Polskiego w parlamencie niemieckim. — Nowa walka kulturna II. — U stóp Zbawiciela (wiersz). — Z dziejów upadku Prus. (Ciąg dalszy). — Z żałobnej karty. — Perły boleści (wiersz). — Jarosław Kwapil. — Znamienny proces.

Illustracye: Poseł Wojciech Korfanty. — Poseł Ks. Brandys. — Poseł Adam Napieralski. — Poseł ks. prob. Aleksander Skowroński. — Poseł ks. Jankowski. — Przed stu laty. — Generał Chłapowski, dziedzic Turwi. — Generał Chłapowski porucznik. — Generał Chłopicki. — Napoleon w kuźni. — Widok zamku krzyżackiego. — Ks. Andersz. — Na biwaku.

5)

Tadeusz Rejtan.

Wspomnienie historyczne.

(Ciąg dalszy.)

7.

Wyrok śmierci.

Stackelberg, urzędnik carowej powiada do Ponińskiego:

— Jeżeli nie dotrzymasz wszystkich tych obietnic, któreś nam dawał, biada tobie i całemu krajowi, 50 tysięcy wojska zaraz do Warszawy przyjdzie i kraj zniszczy i was zrujnuje, jeżeli nie podpiszecie rozbioru Polski.

— Kiedy ten Rejtan, ten szalony Rejtan nie daje nic robić.

— Zbierz posłów na naradę do zamku, króla skłońcie, ażeby przystąpił do waszej konfederacyi, a wtedy już nikt nie będzie mógł przeciw temu wystąpić.

Więc Poniński czyni tak jako mu Stachelberg poradził.

Zwołał posłów na tajną naradę do zamku. Zaprosił też króla, a kiedy on przyszedł zaczyna Poniński przedstawiać straszne rzeczy:

— Ten Rejtan nieszczęście na kraj sprowadzi, ten Rejtan obrazi cesarzową Katarzynę, ten Rejtan przeszkadza pracy sejmowej.

I tak dalej i tak dalej, bez przerwy, a wszyscy wierni przyjaciele Ponińskiego dorzucają słowo po słowie.

Król ślicznie wystrojony, uczesany, uperfumowany, bawi się koronkami swoich jedwabnych szat i z oburzeniem słucha o Rejtanie jako o dzikim Litwinie, który się nie zna na grzeczności i śmie tu — tu w Warszawie sprzeciwiać się woli carycy, śmie żądać czego innego jak żąda ona, śmie czynić co innego jak ona czynić kazała.

— Jeżeli niechce Rejtan uznać naszej konfederacyi, powiada Poniński, to podpisz królu, żeś Ty z nami, wtedy on już musi ustąpić.

— Podpiszę! — z uśmiechem szepce ślicznie ustrojony król i bierze pióro do ręki...

— A kiedy Rejtan wietrzy tu i burzy porządek, kiedy nie zezwala, by sejm swoje obrady mógł odbywać, kiedy obraża carową i sprowadza przez to na kraj 50 tysięcy wojska moskiewskiego... to należy....

Zatrzymał się Poniński jakby go coś zdławiło.

— Cóż? — pyta ślicznie ustrojony król.

— Należy wydać wyrok śmierci na Rejtana...

— Należy, — powtarza król i podpisuje, a ręka mu nie drga i pismo nie zalewa łza bolu.

— Ponieważ Rejtan przeszkadza obradom, nie należy drzwi od sali sejmowej otwierać, aż marszałek wejdzie.

— Nie należy, powtarza król i potwierdza rozporządzenie Ponińskiego.

Rejtan o 7-mej rano już stał przed drzwiami sali sejmowej i czekał, kiedy otworzą. Trzymał w ręku laskę marszałkowską, ażeby dowieść, iż nie dozwoli jej wziąć Ponińskiemu do rąk.

Lecz oto przychodzą posłowie i powiadają:

— Na darmo to wszystko. Król wczoraj do konfederacyi przystąpił, król na ciebie wyrok śmierci podpisał.

— Na mnie? — pyta Rejtan... na mnie wyrok śmierci?

— Tak, nieinaczej.

— Ja pójdę do króla, ja będę go błagać o męstwo i odwagę, niech odstąpi od zdrajców, niech z narodem idzie razem.

Lecz szambelan Jego Królewskiej Mości zatrzymuje Rejtana i powiada, iż król go widzieć nie chce.

— Miłościwy Pan rzekł, — powiada szambelan, — iż sam jest w bardzo smutnem położeniu i ani opieki ani pociechy nikomu nie może udzielić.

— O królu!... — woła Rejtan u progu królewskiej komnaty, — takiż to z ciebie ojciec narodu? Boisz się sprzeciwić woli carycy, lękasz się zemsty wrogów, a nie myślisz o tem, co naród o tobie powie?

Podpisałeś na mnie wyrok śmierci, a nie wiesz, iż śmierć niesiesz Polsce...

Załamawszy boleśnie dłonie odszedł Rejtan od drzwi królewskich i wlókł się do sali sejmowej.

— Wyrok śmierci — szeptał do siebie. Ja już ten wyrok czytam na twarzy wszystkich zdrajców i niegodziwych ludzi, ja już ten wyrok widzę na całej Warszawie, już on — niedługo będzie podpisany w całej Polsce

8.

Wszystko daremne.

W sali sejmowej są posłowie.

A wedle zwyczaju znajdują się i ambasadorowie obcych krajów.

Jest Benoit, pruski poseł, jest Stackelberg, moskiewski i inni...

Do nich więc zbliża się Rejtan i prosi:

— Szanowni Panowie! Czyli wy nie wiecie, co się dzieje czyli się nie oburzacie na te bezprawia? Zaklinam was na wszystko w świecie, nie pozwalajcie przecie, ażeby w waszej obecności podobne sprawy załatwiano. Pomyślcie, gdyby u was, w waszej Ojczyźnie, nasi szpiegowie i wysłannicy chcieli zmusić rodaków waszych do zdrady kraju, do podpisu, iż się zgadzacie na krajanie Ojczyzny, cóżbyście zrobili?... Czyby wam serce nie rwało się w kawały? Czylibyście swoich praw nie bronili?

Ale twarda, moskiewska dusza nie rozumie takich słów żalu i skargi...

Więc Stackelberg odrzekł:

— Myśl waćpan lepiej o sobie, jak o Ojczyźnie, na Waćpana wyrok śmierci wydany.

— Jestem gotów umrzeć — mówi Rejtan — ale niech postąpię według powinności syna dla Matki i obywatela dla kraju.

— Nie troszcz się Waćpan tak zbytnio o Ojczyznę — znów pociesza Benoit — pod opieką carowej i Fryderyka ona żyć będzie, ale ty, ty z wyrokiem śmierci co zrobisz?

— Uczynię to, co mi obowiązek dyktuje. Wyrok śmierci nie ugnie mnie ani mi pióra do ręki nie włoży, bym podpisem zabijał Matkę-Ojczyznę...

— Posiedzenie sejmowe odłożone do jutra, do piątku — oznajmia Poniński.

— Jutro zbierzemy się, ażeby raz sprawę zakończyć — mówi jeden z posłów.

A Rejtan pyta:

— Więc nic innego nie macie do powiedzenia? Więc zjechaliśmy się z całego kraju na to, ażeby bez protestu, bez szukania ratunku, jak z zawiązanymi oczyma podpisywać to, czego podpisać nigdy nie wolno?...

— Teraz się rozchodzimy, jutro przyjdziemy.

Jadwiga z Łobzowa.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

14 # GADY.

POWIEŚĆ Z XIV WIEKU.

(Ciąg dalszy)

Dziwy zaczęły krążyć pomiędzy ludem o ostatnich pana Święcy chwilach; nikt przy łożu śmiertelnem nie siedział, a każdy prawił tak, jakby naocznym skonania był świadkiem. Jedni mówili, jako krwią szczerą płakał, żałując za grzechy swoje, inni, że w zatwardziałości bluźniąc Panu Jezusowi i Matce Jego Najświętszej, umarł. Znany graj, Każkiem-guślarzem zwany, powiedział ludziom słuchającym, że zaraz po śmierci wojewody, gdzieś od morza, gdzieś od Gdańska, wyższa nad dęby i sosny, bardzo śliczna niewiasta przyszła, a takim smutkiem powiała, że zatrzymały się wichry wiejące, zaniemówiły bory szumiące — i cichość się zrobiła, jaka będzie przededniem sądu ostatecznego. A niewiasta ona do chałupy weszła, zatrzymała się nad truchłą wojewody i ułożyła się na nim. Była to ojczyzna najmilejsza, Niemcom zaprzedana. Poruszył się trup pana Święcy i jęknął — a ona:

— Śpij, synku — przeciem macierz twoja!... Azali tyś mnie nie lulał i nie położył do trumnicy?...

I ciało pana Święcy rozsypało się w proch.

Zimno przeszło po ludziach słuchających — oniemił ich dziw... Ale trudno guślarzom nie wierzyć!

I znowu gadki różne a gawędy poszły. Kuba o biesie rogatym rzecz wywodził i kazał mu fortelem dyabelskim, niechcącą wyjść z ciała duszę uchwycić; pastuch, co wtedy krowę zabłąkaną w lesie szukał, widział lej wichru z kamieni, piasku i liści suchych skręcony, — w onym zaś leju pan wojewoda siedział, upiór straszny, niestworę jakąś na sobie mający. Przed nim chmarą gęstą leciały pódźki i sowy, nawołując:

— Pódź — pódź, panie Święca, na wieczornicę do nas!...

A cóż to za ptactwo było — jeżeli nie duchy złe? a dokądże go tak zapraszały — jeżeli nie do czeluści piekielnych...

Chłopom z dziwu otwierały się gęby, dreszcz chodził po skórach bab i kobiet, a już dziewuchy to i słuchać opowiadań takich nie mogły — ojkały z lęku, za piec się kryjąc.

Ale trudno nie wierzyć było i pastuchowi staremu, który niemało dziwów podobnych w żywocie swoim widział i z duchami a upiorami był za pan brat.

— Jako se chcecie, dobre ludzie, gadajta sobie — prawił — a com widział, tom widział, choć i niewidziane nie mogłoby prawdomówności mojej szkody nijakiej przynieść. Widział-li z was który wiatr? Juści, że nie! a przeciech on jest, bo liśćmi rusza i po pysku jako zła mucha łazi. Otóż jedne duchy, jako wiatr chodzą, którego nie widać, a jensze, jako burza, pioruny i błyskawice mająca. Tak samo i z dyabłem ma się: jeżeli chce się pokazać, to i ślepy zobaczy; jeżeli nie — nie pomoże ci i kaganek przy słońcu. Jeno strachać się nie trzeba, przytomność mieć i umieć se poradzić. Opowiadałem już wam nieraz i nie dwa — i teraz opowiem — jako babie pewnej, w złej przygodzie stanąłem. Czas przyszedł już na nią — i umarła; a że nagła śmierć przyszła, nie mogła wijatyka wziąć i już bez przeszkody nijakiej do furty niebieskiej zapukać. Nad tą duszą nieszczęśliwą, choćby i zacna była, zawżdy bies czuwa i na uwadze ją ma. Zważcie tedy, a nie umierajcie śmiercią nagłą. Ale o czem-żem to miał wam mówić?

— O babie, dziadu, co to już wiemy o niej!...

— Aha!... słuchajcie tedy!... Ochrypłem-ci i ja, śpiewający, że już głosu wydobyć nie mogłem, a choć i mnie sen morzył, co już widocznie figle dyabelskie były, jako-że trudno złym duchom odpędzić się jest... Ale o czem to...

— O babie, dziadu...

— Aha!... siedzę tedy czuwający i pacierze szepcący, i na nieboszczkę patrzący... I co powieta?... Mrugnęła jednem okiem a potem drugiem — i głowę podnosi niby... Sen ci to! myślę — wżdy wszystkim wiadomo jest, że nieżyjący nie ruchają się. A moja baba już ręce rozkrzyżowała i nogi z ławy spuszcza, głowę podniosła i pyta... Czybyście się nie przelękli, ludzie moi, takie widowisko widząc?... a juści! Alem-ci ja odrazu zrozumiał rzecz, jako, żem czasu młodości zakrystyanem był i mądrą książkę niejedną, kurz zamiatając, dotykał. — „Już ci nie daje bies spokoju?... już — już?" powiadam. I zaraz babę za nogi wziąłem i na ławę! ręce złożyłem na krzyż, sam na nią i jak nie bachnę w pierś kolanem, aż zipnęła i już nie pomyślała o wstawaniu. Tak uratowałem duszę krześciańską od potępienia wiecznego i nagabywań dyabelskich, a wszystko bez przytomność i bez to, że nawet przed siłami nieczystemi strachu nie mam — amen!...

Takie gawędy chodziły pochalupach, ten to, drugi owo przypomniał sobie, ale żaden nie dorównał pastuchowi staremu, który nie jednego człeka z martwych wstającego, w powyższy sposób uśmiercił i przybliżył mu królestwo niebieskie.

Przedmiotu wszelakiego dawała ludziom do gawęd ona śmierć pana Święcy. Miano czem wypełnić bezbarwne, szare wieczory jesienne, bo to z dniem każdym ubywało roboty, a noce długie były, że ich ani przespać ani przegadać. Od chałup wieść o tym wypadku przeszła do siedzib ślacheckich, zabiegła i do Podkamienia, do pana Marka dotarła, któremu jeno siwe ściągnęła brwi, ale nie poruszyła go wcale.

— Wieczny odpoczynek — rzekł krótko. — Niech dobrotliwy Pan Jezus osądzi grzechy jego, za duże na przebaczenie ludzkie.

Słowa te zdziwiły Helżbietkę.

— Za duże na przebaczenie ludzkie? — spytała.

— Przynajmniej na moje — odpowiedział pan Marek!

— A kto ci on był — ten grzesznik?

— Święca.

— Cóż takiego uczynił, że nawet dziadzio przebaczenia mu dać nie chce?

— Ciężko zgrzeszył!...

— Skrzywdził dziadzia?

— A wżdybym krześcianinem nie był, gdybym mu urazy własnej nie przebaczył, choćby najkrwawszą była!...

— Zbój jaki?

— Zbój!... — krótko odpowiedział pan Marek.

W oczach Helżuni odmalował się przestrach, lecz i ciekawość zarazem. Nieznane jej było nazwisko, wymawiane przez starego Żurawia, ale o zbójach słyszała nieraz, wżdy nie tak daleko od Karpat położone były Leszczyce jej rodziciela, a one góry, czerniejące na widnokręku, przedstawiały się w jej wyobraźni, jako kraj zaczarowany, o którym baśni przedziwne słyszała z ust swoich rówieśnic wiejskich, że jeno trzeba było dech w piersi stłumić i słuchać dniami i nocami całemi. Kraj dziwny i jakby ze snu wydmuchnięty, a rzeczywisty i taki niedaleki; gdzie potoki spadają w przepaście i rozpryskują się na pył marny; gdzie onym chmurom wysokim, obłokom dalekim, przeszkodą stają gór piersi skaliste i garną w ramiona swoje, że nijak już im wydrzeć się z uścisku tego, chyba rzęsistemi rozpłakać się łza-

mi, piorunem krzyknąć i deszczem na ziemię spaść; kraj, gdzie księżyc srebrne marzenia pełnemi garściami zbiera, by mógł je siać ludziom przez nockę całą; gdzie słońce zmęczone, zanim do snu się ułoży, wspiera się o granitowe skał barki; gdzie z krain gwiaździstych pracowite duchy schodzą snuć z kądzieli niebieskiej nić siedmiobarwną i dzierzgać tęczowy pas, by go na ramiona niebiosom zarzucić, umalować jutrzenkę promieniami złocistymi, albo wieczorną zorzę klejnotami nasadzać. Tam, w jaskiniach nieprzebytych, grotach siwą mgłą okrytych, śpią skamieniali rycerze króla Chrobrego, czekając gromu, który ma ze snu ich obudzić; tam ptak lechicki na niedostępnych wyżynach gniazdo swe wije, tam piorun grot swój ostrzy o zręby skał, stamtąd się burze i nawałnice niosą, tam, jeżeli człek śmiały na turniach stanie,to widzi cały świat pod sobą, całe niebo nad sobą, a jeżeli mu się w głowie zamąci od wysokości takiej i runie w głąb — za lat sto nie dolecieć mu do ziemi, a nie mówić już o tem, by żyw był.

W górach onych, na onej granicy świata rodzą się zbóje straszne. Nic im jednem uderzeniem ciupagi trójgłowego smoka porazić, rozwalić mur pięści uderzeniem, spojrzeniem zapalić stóg. A co ludzi pobili, to tego na okach niewodu nie zliczyć.

Dreszcz nieraz przebiega przez ciało Helżbietki, powieści różnych o tych zbójnikach słuchającej — jeno zawżdy topór dawały im do ręki, albo krzywda wielka, albo jakieś miłowanie wielkie. Panom ni królom nie pozwalali sobie na nosie grać, rozmiłowywały się w nich księżniczki najśliczniejsze, a gdy do ust się zabrali — to niczem żar, gdy ciupagę podnieśli na kogo — to niczem grom! Umieli zabijać, lecz i umierać umieli; strach nieśli, sami nie znający strachu; okrutnie mścili krzywdy doznane, szczególnie z miłowania pochodzące — i to okupywało ich winy i w jakimś dziwnym, rycerskim blasku stawiało ich przed oczyma Helżbietki. Niejeden pacierz zmówiła za duszę takiego zbójnika, nieraz rozpaloną myślą przez one przebierała się mgły sine, do tego świata zaczarowanego, do tych karpackich gór. A tutaj dziadzio mówi: niech Pan Jezus przebaczy, bo ludzie nie mogą!... To ci dopiero zakazany był zbój ten Święca, że sama nie wie, ma-li milczeć czy jeszcze pytać o niego? Ale ciekawość przemaga strach — nieco bliżej jeno do Jewki się przytuliła i czarnemi oczyma starego Żurawia czarując, ozwie się w ten sens:

— Niech dziadzio coś więcej o tym rozbójniku mi powie.

— O wojewodzie?

— To on był wojewodą?

— Gdańskim.

— Jakto, dziadziu- — zbój w górach mieszkający i razem wojewoda gdański?...

Pan Marek zaśmiał się.

— A kto ci o jego mieszkaniu w górach mówił, których może ni razu w żywocie swoim nie widział?...

Trochę zbladła wyobraźnia Helżuni. Usunął się zaczarowany świat — stanął przed nią pan wojewoda gdański, człek do tylu innych podobien, bez ciupagi i oczu zapalających stóg, o górach nic może nie wiedzący.

— Cóż on takiego zrobił? — spytała. — Jest-li taka wina, którejby przebaczyć nie można było?

— Jest!...

— Jaka, dziadziu?

— Zdrada ojczyzny.

— A!... — krzyknęła Helżbietka.

Dwa łuki brwi zbiegły się groźnie nad jej oczyma, koralowe usteczka zacisnęły się.

— Zdrajca!...

Poruszyła główką.

— Za takiego nigdybym się nie modliła!...

— Jużci — przytaknął obecny Warsz.

— Pies był — dodał Sobek. — Niemcom rodzony kraj zaprzedał.

— Za żywota już go pokarał Bóg na synu, które łeb sobie rozbił o kamień przydrożny, pokarze pamięć jego i we wnukach.

— Niech pokarze! — odpowiedziała Warszowi Helżbietka.

— Napisano w Piśmie Świętem jest — pan Marek się ozwał — że do siódmego pokolenia Bóg klątwy nie zdejmuje; ale kto zmierzy głębiny morskie, kto miłosierdzie Boże zbada? Nie nam o takiem pokaraniu mówić, Helżbietko!... Czasami grzech ojcowy syn maże, a we wnuku zacna już może krew popłynąć.

— Nie wydałabym się za niego, choćby piękny był jak anioł niebieski.

— Jużci! — potaknął Warsz.

— Zawżdy w cnocie niepewność — dodał sobek.

— Nie rozmiłowałby mnie, o — nie!

— Tak ci się jeno wydaje, — Helżbietko — tak ci się jeno wydaje! — szepnęła Jewka.

— Nie znasz mnie!

— Znasz-że ty siebie?

— Wiem jeno, że takiego sprzedawczyka w żywe oczy nie chciałabym widzieć.

— Zacz cóż syn winowaty — abo wnuk!...

— Z konopnego przędziwa, gdy marne nasienie było, nie będzie gzło dobre.

— A wiesz-że z jakiej przędzy swoje dziś nosisz?

— Powiedz, że złe, a w ogień cisnę!

— Zapalczywa jesteś, Helżbietko!

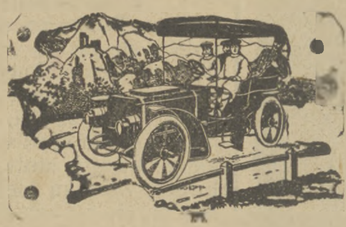
— Jeno miłująca swój kraj... Boże, jak miłująca! Takie lasy zielone, takie pola majone, niebo takie gwiaździste, słońce takie złociste obcemu zaprzedać?... A niech-że imię jego zczeznie po wiek wieków! niech usta, któreby dotknęły choćby w dziesiątym pokoleniu nasienia jego, staną się suche jak wiór, zakażenie i chorobę niosące!...

Wilgotne, śliczne usta Helżbietki zapaliły się przedziwną barwą koralów, rzec można: płomyki dwa, gdyby ogień mógł skamienieć, a z nich kunstmistrz usta wyrzezał; nie chorobę przyniosłyby a zakażenie, o których mówiła z taką zapalczywością, jeno zdrowie i szczęście, zapomnienie i szał. Ale Elżunia nie wiedziała nic, że onę klątwę straszną sama na siebie rzuca, że nie duch, nie mara całowały jej usta gorące, że on rycerz w hełmie złocistym, w zbroi srebrzystej, który jej w noc Andrzejową się pokazał, był prawym wnukiem pana wojewody Święcy, któremu ludzie grzechu wielkiego ni zapomnieć ni przebaczyć nie mogli, a około którego teraz plątały się jej sny dziewicze, odkrywając światy nieznane i czucia nieznane. O, nocko Andrzejowa — jakie żeś ty poczyniła bałamuctwa!...

Teraz nie spieszyło się Helżbietce do domu. Myśl dziewicza oprządła się w jakąś tęsknotę oczekiwania, a sama nie wiedziała, gdzie ono marzenie ma się spełnić, w domu dziadzi, czy w pana ojca dworze? Raz jej przeczucie mówiło, że jeno w królewskim Krakowie może się pojawić taki wycerz-kochanek; to coś jej do ucha szeptało, by nie ostawiała Podkamienia tak prędko, gdzie jeszcze unosił się czar nocy Andrzejowej, jakby wrażenie czegoś bliskiego, które rozwiązać się, czy się oddalić czasu nie miało jeszcze. Na ustach swoich czuje gorący pocałunek, w uchu słodki szept:

— Miłujesz?...

(Ciąg dalszy nastąpi).



AUTOMOBILE
Koehler & Co.
Największe warsztaty reparacyjne
z zapędem elektrycznym.
Przystanek szklanny dla samochodów, stacya benzyny, oliwy, pneumatyków.
Poznań, ul. Wiktoryi 17. Telefon 1993.
Gen. repr. firmy
Rex Simplex, Ronnenburg S.-A.

Brzytwy! Brzytwy



Brzytwy.
jedynie najlepsze z angielskiej dyamentowej stali; **znane z dobroci i pod gwarancyą** już obciągane i gotowe do użycia. — Wymienię każdą sztukę, jeśli nie będzie dobrą. Piękny mocny futeryał darmo.

Nr.	50	51	53	54	56	60
mk.	1,20	1,40	1,75	2,10	2,75	3,75
a następne nr.		0	1	2	3	4

bez gwarancyi po 55, 60, 70, 80 i 90 f
Pędzelek 40 fen., nikl. **miseczka** 40 fen., **mydło** 10 fen.
Paski do ostrzenia po 0,80, 1,00, 1,50 i 2,00 mk.
Nożyczki kute stalowe po 40, 50 60 i 90 fen.
Noże kieszonkowe tylko mocne po 20. 25, 30 fen.
Noże kieszonkowe o 2 nożykach i grajcarku po 40, 50 60 fen.
Odsprzedającym rabat. **Cenniki** wielkie, około 2000 illustracyi wysełam **darmo i franko.** 20(
M. Danecki,
Poznań, Bismarka ul. 2.
(Posen, Bismarckstrasse 2.)

Nowość! Nowość!
Flirt Salonowy
427
gra towarzyska ogromnie zabawna. Cena 1 50, z przesyłką 1,70 M.

Listownik miłosny czyli najdokładniejszy poradnik do pisania listów dla zakochanych narzeczonych wraz z dodaniem złotych myśli o miłości, sercu i kobiecie. Cena 60 fen., z przesyłką 65 M. 427

Rozmowa znaczkami listowemi,
książka dla zakochanych a szczególnie narzeczonych. Cena 25 fen. z przesyłką 30 fen.

Przewodnik zakochanych
czyli jak zdobyć szczęście w miłości i powodzenie u kobiet z dołączeniem rozmówek salonowych i towarzyskich. Cena 80 fen, z przesyłką 90 fen.

Największy zbiór powinszowań na wszystkie okoliczności życia dla osób dorosłych. Cena 1,25 Mk., z przesyłką 1,45 Mk.

Bukiet pieśni światowych
zawierający dumki, arye, krakowiaki, mazury, pieśni miłosne, narodowe. Cena 60 fen., z przesyłką 70 fen,

Albina czyli kwiat Galii, prześliczna powieść (266 stron) przez X. Heyduckiego. Cena 80 fen.
Powyższe książki poleca i wysyła odwrotną pocztą
Bogdan Chrzanowski
Poznań, ul. Wilhelmowska 17.

Wyższa
szkoła kroju, szycia i stroji
Zofii Szuman
egzaminowanej nauczycielki kroju i szycia, uczennicy pierwszorzędnych akademii krawieckich
w Poznaniu,
przy ul. Piekary nr. 6 I p.
Zgłosz. przyjmuje codziennie od 9—12 i od 2—6.
Kursa oddzielne dla osób uczących się dla własnego użytku, 644
oddzielne dla chcących fachowo pracować.
Przyjmuje zamówienia na formy staników i spódnic podług miary.
Prospekta na żądanie bezpłatnie.

Nowe szkockie
śledzie
śledzie opiekane, sardynki w oliwie, najlepszy olej do jedzenia, margarynę
we wszelkich gatunkach,
czystą amer. mięszaną salonową **nafte** z dostawą na bieżące i późniejsze term.
Smołę i papę na dachy oraz carbolineum
poleca po tanich cenach hurtownych 133
Maciejewski & Co.
Szczeciński hurt. handel śledzi i nafty
Poznań (Posen) W. Garbary 23.
Telefon 872. 133
Adr. do list. Maciejewski & Co., Posen
Adr. do tel.: Heringsgrossist, Posen

Do prowadzenia składu bardzo poważnego artykułu Towarzystwa z o. p. potrzebna 45
pani
lub panienka
rutynowana i w kupiectwie wszechstronnie wprawna, z kaucyą co najmniej 2000 M. na stałą pensyą i od czyst. dochodu. Zgłoszenia z dołączeniem znaczka pod lit. L. L. 22 Schiehen.

Potrzebna od zaraz albo 1. 4. 07. 47
SPRZEDAWACZKA
do składu towarów krótkich i bielizny. Panienka tylko z dobrego domu do samotnej pani.
Zgłoszenia z dołączeniem świadectw i fotografii oraz wymagań pensyi przy wolnym stole i stancyi przyjmuje **H. Petras,** Wolsztyn (Wollstein).

Dwóch
Czel. krawieckich
i **UCZNIA** na dobrą płacę od sztuki przyjmie od każdego czasu 36
Teodor Gwoździ
Deutsch Piekar p. Scharley O|Schl.

Przedsiębiorstwo
miernicze i melioracyjne
Jankalla & Krenz
Poznań, ul. Wiktoryi 2.
wykonuje wszelkie roboty w zakres miernictwa i melioracyi wchodzące po najniższych cenach, a mianowicie:
1. Roboty drenarskie,
wykonanie projektów do zawiązania spółek drenarskich, ulepszenia łąk przez osuszanie i nawadnianie, 40
2. Pomiary przez mierników zaprzysiężonycn jako to: parcelowanie większych i mniejszych majątków gospodarstw, regulacye granic, pomiary gruntów miejskich i podział na place budowlane itd.

Spółka Stolarska
Tischler-Rohstoff- u. Absatzverein e. G. m. b. H.
Poznań, ul. Jezuicka 5.
Telefon 207. poleca założona w r. 1894.
Wyprawy dla nowożeńców.
Specyalność: 525
wyprawy obywatelskie.
Meble stylowe.
tanio! wielki wybór!

B. Szulczewski,
ul. Wilhelmowska nr. 11.
Skład porcelany, fajansów, szkła.
Lampy naftowe, gazowe.
Oświetlenie spirytusowe.
Kompletne wyprawy.
Urządzania hotelowe.
Abażury — Przedmioty galanteryjne.
Pająki do kościołów.
Ampułki. 18